



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Swiat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ZAPÓŹNO!

(z Wiktora Hugo).

Zapóźno w krasne barwy stroisz się, stokrotko,
W chmur kłębach ciężą wichry i śnieżne zawieje,
A ty zpod żółkłej trawki spoglądasz tak słodko!
—Przechodniul idzie zima, ja się do niej śmieję.

Zapóźno już, gwiazdeczko, nad uspioną ziemią
Twoje czoło tak cudnym blaskiem promienieje,
Kiedy w zmierzchu wieczornym twoje siostry
[drzemia].
—Przechodniul noc nadchodzi, ja się do niej śmieję.

Zapóźno, duszo moja, uwikłana w sidła,
Na czarnych zgliszczach życia uganasz nadzieję,
Czas-że tobie do lotu rozpościerać skrzydła?
—Przechodniul śmierć nadchodzi, ja się do niej
[śmieję.

MIŁOŚĆ CZY RACHUBA?

NOWELLA

przez

El-em.

(Dalszy ciąg).

III.

Bogate musiały być pokłady węgla na Kijańskich gruntach, skoro Janina z długów oczy-

szony majątek, oddała w korzystną dla siebie dzierżawę i nastała przy ciotce swej osiadła w stolicy. Dochody też z kopalni musiały być znaczne i coraz bardziej rosnące, gdyż Janina poczęła prowadzić dom wystawny, w którym wkrótce, w kółku krewnych i innych dobrze urodzonych, ochoczo gromadziła się cała inteligencja miasta.

Janina z rozkoszą rzuciła się w wir dotąd nieznanego jej życia, bez troski i myśli o ciężkich interesach. Dobrobyt i pewna niezależność materialna, po przebytych kłopotach pieniężnych, sprawiły jej miłe zadowolenie ze świata; dochodzące zewsząd odgłosy uznania jej wdzięków, nauki i dowcipu, podbijały miłość własną; zaś otaczający ją wszędzie rój konkurentów wprawiał ją w kłopot niemały. — Życie to zwolna zacierało wspomnienie niedawno przebytych trosk uciążliwych, a nawet pamięć o miejscu rodzinnem i przepędzonych tam latach.

Myśli te tylko odrazu i nagle tłoczyły się do głowy za zjawieniem się Konrada. On zwykł był spędzać wesoły uśmiech z jej ust delikatnych, myśli swobodne przygniatał jakby ołowiem i nadługo zakłócał bieg prawidłowy rozkosznego jej życia.

Poważny, zimny i spokojny, z księgą rachunkową w rękach, co miesiąc zjawiał się w salonie Janiny i z uszanowaniem całował dość niedbale podawaną sobie rękę. Z uwagą jednak słuchała Janina szczegółowego raportu o stanie swych interesów, oka nie spuszczał z pełnomocnika.

— Więc nie traciecie państwo na mnie i interesu idą wciąż dobrze? — pytała zwykle.

— Jak dotąd, nieźle; należy myśleć, by szło jeszcze lepiej — odpowiadał Konrad.

I długa często rozmowa obracała się wciąż około najrozmaitszych szczegółów tego nieszczęsnego interesu, który tych dwoje ludzi łączył wprawdzie, lecz może bardziej jeszcze rozdzielał. Każda taka rozmowa nużyła Janinę niesłychanie, wzbudzała w niej wstręt do wszystkiego, co dotyczyło

praktycznej strony życia i odpychała ją od tego nieustannie rachującego człowieka.

— Aferzysta! — spekulant! — wybuchała gniewnie, pozostawszy samą.

I starała się usilnie zapomnieć o nim copędzej; lecz długo pozostawała w jej pamięci postać towarzysza lat dziecińczych, a nawet przesuwała się często przed oczyma i wtedy, gdy otoczona kołem wielbicieli, czarowała wszystkich rozmową pełną wdzięku i dowcipu, gdy szalała wśród wiru i zabaw hucznego karnawału, a najczęściej wtedy, gdy pozostawała sama w rozkosznym budoarze. Wówczas-to zasłaniała twarz rękoma, jakgdyby wstydziła się samej siebie, i po pewnym czasie wstawała z miejsca zimna, poważna, jak Konrad, gdy jej składał miesięczne rachunki — i zdawało się, że zapominała o wszystkim.

Przez długi czas odwiedziły Konrada i rozmowa z nim, nie czyniły już na niej tak silnego wrażenia. Nawykła była widzieć w nim zwykłego pełnomocnika, który za pracę pobierał sowite wynagrodzenie.

Tylko, gdy po upływie kilkunastu miesięcy tak bez zmiany pędzonego żywota, krewni Janiny poczęli coś przemyślać o wydaniu jej za mąż, wówczas między tą całą galerją konkurentów przesuwała się nieznacznie sylwetka Konrada — i znów członkowie tej, poraż niewiadomo który, zwołanej rady familijnej, nie nie uradziwszy, rozeszli się, wruszając ramionami.

Konrada postępowanie było też wciąż jednakie. Co miesiąc zjawiał się i wyjeżdżał po dniach kilku. Raz jeden w karnawale dał się uprosić i przyszedł na świetny raut do Janiny. Panowie bezustannie dopytywali się o niego, przedstawiali mu się koleją, gromadzili się koło niego i z zajęciem słuchali jego zajmujących rozpraw; panie przez szkiełka, oprawione w złoto wpatrywały się w niego uważnie i rade były, gdy zbliżał się do nich, gdyż oprócz powierzchowności, podobała się bardzo jego ożywna i w dobrym tonie prowadzona

rozmowa. Janina w duszy rada była temu, że dyrektor jej kopalni tak sobie potrafił ująć wszystkich i tak dobre czynił wrażenie. Chciała mu to nawet powiedzieć przy sposobnej chwili, lecz wstrzymała się, odnalazszy go w jednym z gabinetów, zajętego wpisywaniem czegoś do małej, rachunkowej książeczki.

— I tu pan rachuje! — zawołała na wpeł poważnie, stanawszy przy nim, — przybyłeś pan raz w życiu na raut do starej przyjaciółki i uciekasz od ludzi! To się nie godzi, panie Konradzie.

— Nie godzi się, prawda — odrzekł, wstawszy z krzesła — lecz co począć, skoro tak czynić muszę?

— Dlaczego?

— Bo życie postawiło mnie w takich warunkach, że muszę ciągle rachować się ze wszystkim i z sobą...

— O, panie rachmistrzu! — rzekła z dobrotliwym na ustach uśmiechem, — gdybym miała władzę, to bym cię mianowała wielkim rachmistrem koronnym.

— Nie podolałbym temu urzędowi, łaskawa pani. Rachuję dla bardzo małego świata, w którym obracam się i żyję, lecz i tu nawet rachuba zawodzi mnie często, więc ciągle też liczę i sprawdzam.

— Lecz co pan tak liczy i z czym się pan tak rachuje? — zapytała zaciekawiona, siadając w fotelu.

Konrad przypatrywał się jej ze zdziwieniem. Po powrocie do kraju nie widział jej jeszcze tak dobrej i tak życzliwie mówiącej. Znowu żywo stanęły mu w pamięci pełne prostoty lata szczęśliwe, dawno pospołu przebyte — i natchnęły go nowym ku niej zaufaniem. Spojrzał w jej duże oczy, których znany mu dobrze pewien odbłysek figlarny obiecywał bardzo wiele. Zdało mu się, że teraz chyba nadeszła chwila, w której mógł bez obawy przegrania wiele postawić na kartę. Poczł w sobie nagle odwagę, żywsze bicie serca, a zrzuciwszy z twarzy maskę obojętności i chłodu, zbliżył się do Janiny.

— Więc czy dowiem się czegoś od pana? — powtórzyła po krótkim milczeniu, z niebyszą dotąd słodyczą.

— Niech pani zgadnie — odrzekł z uśmiechem.

— Zgadnąć? to bardzo trudno; lecz skoro pan rachujesz się ze mną ciągle, więc gdybym zgadła, to cóż za to otrzymam?

— Wszystko! — zawołał z uczuciem.

— To jest albo za wiele, albo za mało — odrzekła poważnie. Nie zgadnę; lepiej pan sam mi o tem powiedz.

— Powiedziałem nieraz, że zmuszony jestem liczyć i obliczać się ze wszystkim, a raz nawet, wyśmiejesz mnie pani może, liczyłem płatki owej ślicznej żółtej róży, którą otrzymałem, przy naszym pierwszym w lesie spotkaniu... Chowałem ją przez długi czas między najpiękniejsze pamiątki życia i wreszcie począłem liczyć zeschnięte płatki, gdyż wszystkie rachuby zawodziły mnie, a z cyfr nie mogłem dowiedzieć się niczego. Uciekłem się więc do tej wyroczni, do której przybiegają wszyscy, którzy najczystsze złoto uczucia rzucają w tajemniczą otchłań serca kobiecego....

Wpatrując się w niego ciągle, Janina słuchała bacznie, zdziwiona niezmiernie. Pod wpływem słów tych twarz jej ożywiła się, usta poczęły składać się do uśmiechu i blask jakiś dziwny zamigotał w szmaragdowych oczach. Lecz nagle w umyśle jej powstało pełne podejrzeń, złowrogie pytanie: czy to była miłość, czy tylko rachuba? Była to wątpliwość, której narazie nie nie rozprószyło, pytanie, które nie miało odpowiedzi zadawającej, ani dla niej, ani też dla niego. Więc po upływie chwil kilku, o władnąwszy umysłem i burzącem się może w sercu uczuciem, wstała z miejsca, dumna, poważna i wspaniała, jak urażona królowa. Rzuciła na Konrada wzrok przenikający, jakgdyby wskazywała mu przepaść dzielącą ich nazawysze.

On zrozumiał odrazu wszystko. W tem wejrzeniu, jak w otwartej księdze, czytał wyrok stanowczy a straszny; mimo to stał przed nią spokojny, przyjmował jej neliłościwe spojrzenie uśmiechem, który igrał pod szerokim wąsem, i patrzył się na nią oczyma, w których malowała się dobroć i po-
błazanie.

— I cóż panu powiedziała ta różana pytya? — odezwała się wolno, odwracając głowę.

— Powiedziała mi, że są kobiety piękne, jak najpiękniejsi w niebie anieli, że są dobre i niewy-czerpanego serca dla wielkich i dla maluczkich, lecz bez wyrozumienia i bez litości dla tych, którzy z brzemieniem życia dźwigają grzech jeden, grzech wielki, grzech urodzenia!... O gdybym ja, panno Janino, wiedział — wykrzyknął, lecz już niemal z rozpaczą, porywając się oburącz za głowę — gdybym ja wiedział, komu wdzięcznym być mam, czy też złorzeczyć za to mizerne jestestwo, toby na mnie nikt nie rzucił nigdy spojrzeń ostrych, jak sztylety za to, że osmieliłem róży pytać się losu swego o zagadkę! Więc bywajcie zdrowe, panie wielkich nazwisk i wielkiego świata! nigdy nie zapyta was się o nic wzgardzony przez was tułacz!

Schwycił gorączkowo za kapelusze i szybko ku drzwiom zmierzać począł.

— Uspokój się, panie Konradzie! — zawołała przerażona Janina, pragnąc zatrzymać go w miejscu.

— Chyba w grobie, panno Janino — odrzekł z melancholijnym uśmiechem, stając we drzwiach. Poczem skłonił się i wyszedł.

IV.

Dziwna ta i niespodziewana rozmowa była powodem wielu i długich rozmyślań Janiny. Pamiętała dobrze, więc rozważała każde tej rozmowy słowo. Konrad przemawiał do niej tak, jak nikt nie odezwał się jeszcze w tym świecie sztywnych konwenansów i przesądnych obyczajów. Czuł było, że w każdym wyrazie kipi uczucie gorące, jak krew w jego żyłach, że wydobywa się z duszy szczerzej: a ona dała mu w zamian zimne i dumne spojrzenie. Nikt nie chował jej kwiatów między najdroższe pamiątki życia, tak, jak nikt nie odezwał się jeszcze do niej w ten sposób. A przecież nikt nie odezwałby się nawet inaczej, gdyby z osobą jej nie łączył się wielki majątek. Stanowisko to zawdzięczała Towarzystwu górniczemu, lecz gdyby nie Konrad?... Konrad jednak robił na tem przedsiębiorstwie świetny interes... Tak jej się przynajmniej do tej pory zdawało. Lecz nagle w umyśle jej błysło światło, które ją poprowadziło na gościniec innych rozumowań.

— Zdradził się — pomyślała sobie — nigdy nie pożąda grosza kobiety ten, kto przechowuje taką od niej drobnotkę, jak kwiaty.

Więc coraz bardziej poczęła utrzymywać się w przekonaniu, że całem działaniem Konrada powoduje wdzięczność i pewne do niej przywiązanie; to jednak nie wyjaśniło jej jeszcze wszystkiego, nie wyjaśniło jego całego postępowania, a nade-wszystko nie wytłómaczyło ostatniej z nim rozmowy. Przyczyna niewątpliwa nasuwała się sama przez się; lecz Janina odpychała ją od siebie i nie pozwalała jej zawładnąć ani głową swą, ani sercem.

Staczała z sobą długą i uporczywą walkę, lecz były to owe zapasy męczące tylko, z których się nie wychodzi ani zwyciężoną, ani zwyciężonym. Nie zdobyła się jeszcze na siłę tyle, by zniweczyć uprzedzenia, trapiące ją jak zmory piekielne; za dumną zaś była, by uleść tak szybko serca pod-szeptom.

Znudzona, siedziała dnia pewnego, oparta leni-wie na kozecie, w budoarze i przerzucała od nie-chcenia kartki angielskiego romansu. Oko jej za-trzymało się nagle nad jednym ustępem, który poczęła odczytywać półgłosem: „Wielka jest filo-zofia w obrzędzie indyjskim, który nakazuje kobie-tę po śmierci męża spać się na stosie... Kobieta musi mieć towarzysza, doradcę, przyjaciela męż-a. Kobieta, to źródło poświęceń dla rodzinnego gniazda, miłości bezgranicznej dla serca zacnego; źródło, które wytrysnie zawsze wielkim potokiem. gdy kto dlań dogodne odnajdzie koryto... Kobie-ta, to jak bluszcz, który zawsze świeży i zielony, śmiało pnąć się będzie wysoko, choćby do jasnego nieba, gdy znajdzie dla siebie podporę...“

Zamysliła się i czytać przestała. Może to i pra-wda, pomyślała sobie — lecz kto będzie moją pod-porą?...

Gdy podniosła głowę, ujrzała przed sobą szerokie, wygładzone bokobrody Alfreda.

— Ach! to ty, kapitanie.

— Marzysz? — kuzynko.

— Ktoś dzwoni, jeśli się nie mylę.

— Zobaczą sam, kto przyszedł o tak rannej po-rze. I szybko wybiegł z pokoju.

— Pan Konrad? — zapytała powracającego wkrótce Alfreda — prosz go czempredzej.

— Nie, nie pan Konrad — odrzekł, śmiejąc się i przybierając minę tajemniczą — ale, jakaś ślicz-na, nieznaną mi osobka...

Wteżże chwili wszedł służący i podał na srebrnej tacy bilet wizytowy.

— Gabryela? — rzekła zdziwiona, odczytując po-dany sobie bilet. — Nie znam wcale i pierwszy raz słyszę to nazwisko. — Prosz!

— Nie znasz jej wcale? — to zaczyna być cieka-wem. Pozostawię was tedy same i wypalę tym-czasem cygaro.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Magnetyzm zwierzęcy i doświadczenia Donata.

(Dokończenie).

Jedno z ciekawszych zjawisk hypnotycznych stanowi *tężec* (tetanus). Jestto jednoczesny kurcz prawie wszystkich mięśni w ciele. Sprowadza się go przez dokonanie jakichś ruchów rękami nad całem ciałem osoby hypnotyzowanej; ruchy te wyglądają jakgdyby strząsanie czegoś z rąk i z palców. Nie potrzeba długiego czasu na to, ażeby z osoby hypnotyzowanej zrobić jakąś bryłę twardą i nieczułą jak deska. Panna Lucylla bardzo szybko przechodziła w ten stan, i to tak dalece, że jeżeli ręka w chwili zjawienia się teżca miała kierunek prostopadły do ciała, to pozostawała już w tejsamej pozycyi przez cały czas trwania doświadczenia. Naturalnie, osoba dotknięta teżcem traci w zupełności przytomność umysłu. Pannę Lucyllę musiał silny mężczyzna z tyłu rękami podtrzymywać i składać ją lekko na ziemię. Pięści były wtedy zaciśnięte, ręce i nogi sztywne i zupełnie znieczulone, oczy kurczowo zamknięte, tak, iż z trudnością tylko powieki podnieść się dały. Od-dychanie pierśiowe było bardzo powierzchownem. Przykre wrażenie sprawiał widok osoby, która przed chwilą jeszcze dawała wszystkie objawy życia, a teraz leżała zamieniona w jakąś bryłę martwą bez czucia i bez zmysłów. Doświadczenia tego nie przeciągano zbyt długo, gdyż mogłoby to zaszkodzić zdrowiu.

Niektórzy młodzi ludzie z wielką łatwością w stan teżca przechodzili. Kładziono ich wtenczas na dwóch krzesłach w ten sposób, iż głowa na jed-nem, a nogi na drugim spoczywały. Donato siadał na nich, podnosząc nogi i odbijając się niemi od ziemi. W ciele tak zahypnotyzowanego nie było widać najmniejszego drgnięcia; wytrzymał on doskonale cały ciężar na sobie. Donato wykonał raz ciekawe to doświadczenie w ten spo-sób, iż zahypnotyzowany, leżący tak na dwóch krzesłach, był zupełnie przytomnym i rozmawiał swobodnie z nami. Kiedyśmy go zachęcali do tego, żeby wstał, oświadczył nam, iż to jest nie-możliwe, gdyż żadnej władzy nad sobą nie ma. In-nym razem zahypnotyzowani w ten sposób byli zupełnie bezprzytomnymi; oczy mieli zamknięte, ramiona lekko zgięte, pięści zaciśnięte, a oddycha-nie ich było bardzo powierzchownem. Raz zdarzy-ło się, iż, podtrzymując jednó z tych dwóch krze-seł, niechcący dotknąłem się zlekka ciała uspięno-go; spowodowało to zwolnienie pewnej grupy mięśni, i trzeba je było nanow do kurczu przy-prowadzić. Takiejsame dotknięcie panny Lu-cylli nie sprawiło wcale tego wrażenia. W hy-pnotyzmie spotykamy mnóstwo takich szczegółów, budzących najwyższe zajęcie, których wyjaśnić nie podobna. Kiedy np. Lucylla na dwóch krze-słach leżała i oczy miała zamknięte, pewne ruchy

rak Donata sprawiała, że zginała ciało swoje w ten sposób, iż aż do ziemi dostawała, pozostawiając nogi i głowę na owych krzesłach. Znowu muszę objawić wielkie moje zdziwienie, iż stan będący tak dalekim od normalnego tak łatwo przemija, jeśli się tylko obok dmuchnięcia uczyni pewne ruchy do massażu podobne. Te ruchy ręką doświadczającego dokonane, mają w rzeczy samej skutek zadziwiający. Jedne wprawiają w głęboki sen hypnotyczny, inne, prawie takiesame, budzą z uspienia; jedne przytępiają słuch w zupełności, inne znowu zaostrzają go do najwyższego stopnia.

Pod wpływem hypnotyzmu wywołać można siłę muskularną daleko większą, niż w stanie normalnym. Donato w ten sposób demonstruje to zjawisko, iż wybiera spośród publiczności czterech najsilniejszych mężczyzn; dwóm z nich każe się bardzo silnie ramionami o siebie opierać, a dwóm drugim podtrzymywać ich jeszcze z dwóch stron. Donato hypnotyzuje p. Lucyllę, siedzącą na krześle poza tymi siłaczami, i wzywa ją ku sobie. Kładzie ona wtedy ręce na ramionach dwóch opierających się o siebie mężczyzn i po pewnym, niezbyt długo trwającym, wysiłku, toruje sobie drogę między nimi. Jakim sposobem ręce kobiety, wcale nie silnie zbudowanej, mogą odrzucić naprawo i nalewo czterech mężczyzn, z których każdy kilka razy silniejszym od niej być musi: trudno to pojąć i wyjaśnić. Niektórzy, niedowiarkowie na punkcie magnetyzmu, usiłowali dowieść, iż jest to bardzo łatwe gdyż cały tych mężczyzn wysiłek zwraca się w jednym kierunku to jest ku sobie, i że dosyć jest pchnąć jednego z nich ku przodowi, żeby ich z równowagi wyprowadzić. Ławą mam na to odpowiedź. Sam sprawdziłem to doświadczenie, o którym mowa: ruch według sceptyków tak łatwo wykonać się dający okazał się wyższym nad moje siły.

Tego, że jest to w rzeczy samej podwyższenie siły, dowodzi opowiedziany przez p. Ochorowicza fakt, iż p. Lucylla, będąc we Lwowie na wyjeździe, usiłowała zamknąć swój kufer, ale pomimo największego wysiłku dokonać tego nie mogła. Dr Ochorowicz, który rozmawiał wtedy opodal z Donatem, śledził z zajęciem bystrego obserwatora te jej usiłowania, przyszedł jej w pomoc i przekonał się, iż do zamknięcia kufra nie potrzeba było wcale wielkiej siły.

Dalszym objawem hypnotyzmu jest katalepsja. Stan taki, znany oddawna w medycynie, polega na tem, iż osoby cierpiące tę „chorobę“ nabierają dziwnej giętkości ciała, podobnej nieco do giętkości wosku. Ręce, nogi i całe ciało takiej osoby zachowują pozę, jaką im nadamy. Jeżeli wyciągniemy lub zegniami którą rękę, to ulega ona z największą łatwością naszej woli i pozostaje w położeniu, jakie jej nadaliśmy. Jeżeli zegniami głowę naprzód, albo przechylimy ją w tył, pozostanie ona niewzruszoną w tem położeniu. Otóż u osób hypnotyzowanych śpiew, muzyka na jakimkolwiek instrumencie, wibracja kamertonu, a nawet uderzenie w tam-tam, sprowadza stan taki. D. zahypnotyzował pannę Lucyllę, i prosił żeby ktoś łagodną melodią na fortepianie zagrał: natychmiast nastąpił stan nazwany przez Francuzów *catalepsie passagère*. Ciało doświadczanej nabierało zupełnie konsystencji miękkiego wosku i pod wpływem tej muzyki zmieniała ona pozycję, przybierając nieraz bardzo estetyczne pozy. Pewne ruchy wykonywane przez doświadczającego ręką, do pewnego stopnia kierowały temi pozami; ale jak tylko muzyka ustawała, medium nie poruszało się już więcej i pozostawało w tej pozie, w jakiej je chwila dana zastawała. Jeżeli obca osoba dotknęła się p. Lucylli podczas muzyki, odczuwała ona to natychmiast i odsuwała się, okazując najwyższe uczucie przykrości; ale wraz z ustaniem muzyki, nadczułość zniknęła, i nie tylko uspienia dawała się dotykać, lecz każdy mógł dowoli zginać jej ręce, etc. Jaki wpływ muzyki wywiera na uspienych i jaki jej rodzaj jest w danym razie potrzebnym: za dowód posłużyć może wypadek, który się pannie Lucylli zdarzył raz w Gandawie. Podczas doświadczenia grający na fortepianie dla żartu zmienił nagle melodię i zaczął grać jakąś bardzo huczną, krzykliwą sztukę: panna Lucylla natychmiast zachwiała się i padła na ziemię, jak bez życia.

Katalepsją taką wywołać także można silnem światłem; przekonał się o tem Donato przy następującej okoliczności. W roku 1875 rozpoczął on szereg posiedzeń w jednym z teatrów paryzkich, w którym był zwyczaj, iż silnem światłem elektrycznem oświetlano każdą aktorkę wstępującą na scenę. Zapomniano uprzedzić mechanika, iż w tym razie oświetlenie takie jest zbyt silnem. Potężny promień światła elektrycznego padł prosto w oczy p. Lucylli w chwili, kiedy wstępowała na scenę, a skutkiem tego objawił się natychmiast stan kataleptyczny.

Zjawiskiem powtarzanem na wszystkich przedstawieniach i budzącem wogóle wiele zajęcia było wpatrywanie się hypnotyzowanego w jakiś przedmiot: w oczy cudze, w palec etc. Zjawisko to wywoływał Donato, nie tylko na pannie Lucylli, ale i na niektórych mediach spośród mieszkańców Warszawy. Gdy uspienemu medium palcem skierował wzrok w czyjeś oczy, to ono zawzięcie patrzyło się w nie i osobie tej nie dało się ani oddalić, ani przybliżyć do siebie. Jeżeli ktoś zasłonił ręką lub całym sobą te oczy, to medium z największą gwałtownością, można powiedzieć wściekłością, zasłonę usuwało. Młody człowiek L. doskonale się nadawał do tego zjawiska. Patrzył on się zawzięcie w palec Donata i wszędzie wzrok swój za nim kierował. D. zniżał palec ku ziemi i nareszcie położył go na niej; L. chcąc zachować zawsze tęsamą odległość od palca, położył się na ziemi jak długi w wlepionymi zawsze oczami. Gdy ktoś położył chustkę, kapelusz etc. na ten palec, chwycił on wszystkie te przedmioty i z zażartością odrzucał na bok.

Zjawiska hypnotyczne przedstawiają tak wielką różnorodność, iż wyjaśnienie ich i wywiedzenie ze wspólnego źródła jest bardzo trudne a nawet prawie niepodobne. Opisałem powyżej nieczułość, kurecze, wlepianie oczu, katalepsję, i tym podobne objawy opowiem teraz o dwóch doświadczeniach niemających z poprzednimi prawie żadnego związku. Pewnemu młodemu człowiekowi Donato położył palec na koniec zwyczajnej laski, pociągnął swoją ręką kilka razy po tym palcu i silnie się w niego wpatrywał; potem zalecił, żeby medium palec odjęło od laski, ale pokazało się to niemożliwym: palec był jakby przyklejony do laski (w pozycji prostopadłej; wszelkie usiłowania silnie zbudowanego młodego człowieka celem oderwania go były nadaremne. Zasługują tu na uwagę dwie okoliczności: 1) że medium nie było wcale uspienie i zachowało przez cały czas doświadczenia przytomność umysłu; 2) że D. wcale w swoje medium się nie wpatrywał, tylko w ów palec. Drugie doświadczenie, o którym przed chwilą mówiłem, niewykonywane u nas na estradzie, polegało na tem, iż D. dwie osoby plecami ku sobie zwrócił i jakby przykleił do siebie; pomimo największych usiłowań nie mogły one się oderwać.

Inna grupa zjawisk hypnotycznych polega na naśladowaniu wszystkiego, co prowadzący doświadczenie wykonywa. Hypnotyzowani w ten sposób młodzi ludzie wpatrywali się w Donata i czynili wszystko to, co i on. D. śmiał się, minę pośonną przybierał, marszczył czoło, głowę na jedną lub na drugą stronę przechylał; uspieni, patrzył się jemu w oczy, to samo czynili. Donato skakał: i oni także skakali. D. zdejmował z siebie tużurek, wachlując się jakby z powodu wielkiego gorąca: i oni to samo czynili. Najbardziej zadziwiające było naśladowanie mowy i śpiewu. Ludzie niemający pojęcia o języku francuskim powtarzali całe frazesy mówione przez Donata, który, niby śpiewając, intonował parę tonów; i oni to powtarzali, trafiając zawsze w tensam ton.

Cały szereg ciekawych i wielce różnorodnych zjawisk hypnotycznych nie kończy się na tem, com dotychczas opisałem: zaznaczyć mi jeszcze wypada niektóre zajmujące fakty. Donato, uspiwszy rozmaite media, sprawiał, iż nie pamiętały one swych imion; wzmówił w jednego z nich, iż nie nazywa się Julian, lecz August, i ten na zapytanie: jak mu na imię? odpowiadał stale tem drugim imieniem. Jednemu officerowi wzmówił D., iż jest p. Leontyną; i officer zaczął chodzić po pokoju, naśladował ruchy kobiece, włożył na głowę kapelusz kobiecy, przyglądał się w lustrze i t. d. Rozbudzony silnem dmuchnięciem w czoło, zdziwił się niezmiernie,

że kapelusz miał na głowie; nie wiedział co się z nim działo. Ten officer bardzo był wrażliwym i nie trzeba było dłużej nad pół minuty, żeby go w głęboki sen wprawić.

Sprowadzenie hallucynacji smaku doskonale na niektórych mediach warszawskich się udawało. Młody człowiek Ch. kilka razy jadł obrany surowy kartofel w przekonaniu, że to jest morela. Po przebudzeniu wypluwał z obrzydzeniem resztki kartofla, które mu się w ustach zostały, ale mówił do mnie, iż czuł smak soczystego, bardzo smacznego owocu. Heidenhain, professor wrocławski, wykonywał to samo doświadczenie, ale twierdzi, iż medium je kartofel, naśladowując tylko ruchy żucia, które doświadczający przed nim robi, a nie mając istotnie żadnego smaku: byłoby to tylko znieczulenie nerwów smaku; gdy tymczasem Donato wywołuje hallucynacje smaku, co jest stanem zupełnie odmiennym. Sposób też wykonywania tego doświadczenia w obu razach jest całkiem różny. Heidenhain musi robić ruchy żucia głośno, żeby medium je słyszało; kiedy Donato mówi do swojego medium, żeby zjadło to, co trzyma w ręku, zapewniając je, iż to jest ten lub ów smakowity owoc. Widzimy z tego, o ile to ostatnie doświadczenie wyższem jest od pierwszego.

Taki jest szereg ciekawych i nadzwyczaj zajmujących zjawisk hypnotycznych, jakie nam Donato w Warszawie przedstawiał. Z powyższego widzimy, iż jest on nadzwyczaj zręcznym w prowadzeniu doświadczeń, i że potrafi wywoływać nowe, dotąd nieznanne symptomy tego stanu zagadkowego. Wiedza przyrodnicza powinna go cenić jako człowieka dostarczającego jej nadzwyczaj obfitego materiału do ważnych i zupełnie nowych spostrzeżeń. Niejednokrotnie w czasie pobytu jego w Warszawie przekonałem się, iż nie jest on niesumiebnym badaczem, czyni wszystko z dobrą wolą i nie obiecuje niczego, czego dotrzymać nie może. Zarzuty oszustwa i szarlataneryi, jakie się w początkach jego bytności w Warszawie na niego posypały, były nieoględnie wypowiedziane, a ci, którzy z objawieniem takiego nieprzychylnego o nim zdania się pośpieszyli, z pewnością sami tego żałują. Sceptycyzm jest dobrym, gdyż przyczynia się do wszechstronnego rozstrząśnienia kwestyi, ale doraźne, przedwczesne wypowiedzanie zdania, potępiającego jakiego zjawisko, stanowi właściwość umysłów niedojrzałych.

Doświadczenia Donata pobudziły jednego z dzielniejszych naszych pracowników na polu filozofii i nauk przyrodniczych, profesora Ochorowicza ze Lwowa, do gorącego zajęcia się tym przedmiotem. To, co dotychczas wiemy o doświadczeniach jego z licznych artykułów *Kuryera Warszawskiego*, *Gazety Warszawskiej* i *Niwy*, każe nam przypuszczać, iż hypnotyzm na nowe tory przez niego wprowadzonym będzie. Wstrzymuję się na tem miejscu od opisu doświadczeń Dra Ochorowicza, gdyż dotychczas nie miałem sposobności ich widzieć, ale jak to tylko nastąpi, nie omieszkam podzielić się z czytelnikami wrażeniem, jakie na mnie sprawiła.

Dr Gustaw Fritsche.

Z PRAGI CZESKIEJ.

Uroczystości otwarcia Teatru Narodowego w Pradze, odłożone na d. 11 i 12 Września r. b. Pierwsze przedstawienia tymczasowe i pierwsze wrażenia. — Bankiet na cześć Smetany. — Nasze wycieczki po kraju. — Góra Rzip. — Roudnice. — Pomnik poety Halka. — Broszura w sprawie kobiet czeskich. — „Babiczka“ Bożenny Niemcowej. — Nowości literackie. — Goście polscy. — Język polski w Pradze.

w Lipcu 1881 r.

Tak długo oczekiwane, i nawet już nieodwołalne na Maj wyznaczone, uroczyste otwarcie teatru narodowego w Pradze nie przyszło do skutku z powodu nieodwróconej niezmiernie konieczności. Tą wiadomością rozpocząć muszę dziś swój list, po-

mimo, że cieszyłem się razem z wszystkimi swoimi ziolkami jeszcze na początku Maja r. b. nadzieją, iż wszelkie echa, wychodzące już w owym czasie z Czech, będą radości pełnym hymnem szczęśliwie odbytej uroczystości narodowej.

Tymczasem inaczej się stało. Otwarcie teatru musiano odłożyć na pomyślniejszą dobę¹⁾. Nie mam zamiaru szczegółowo dotykać tymczasowego otwarcia, dokonanego wyłącznie na uczczenie przebywającej podówczas w Pradze nowożeńskiej pary: następcy tronu Rudolfa i arcyksiężny Stefani. Zdaje mi się również zbyt szernym obszerniejszy wykład powodów, dla jakich odłożono uroczystość święta narodowego, gdyż o tem pisało już dosyć we wszystkich dziennikach. Wiadomo, że nowi małżonkowie, zaproszeni na *pierwsze* przedstawienie w teatrze narodowym w końcu Maja, opóźnić musieli swój przyjazd o całe trzy tygodnie z powodu choroby arcyks. Stefani. Łatwo sobie wystawić: w jakim położeniu był komitet i cała ludność Czech w Pradze zebrana i liczni goście, a pomiędzy nimi, zawsze tak mili, z Polaki. Wskutek potwierdzenia programatu uroczystości przez samego cesarza żadnym sposobem niepodobna było w nieobecności pary arcyksiężnej teatru otworzyć uroczystości. Wymagać od wszystkich przybyłych umyślnie, aby trzy tygodnie na otwarcie czekali, także było niemożliwym. W takich okolicznościach odłożenie uroczystości narodowych, pomimo przykrości i zawodów, jakie ztąd nastąpiły, przedstawiło się jako rzecz naturalna i nieunikniona i konieczności tej poddać się musiano.

Niemogąc tedy donieść czytelnikom moim o odbytych już uroczystościach narodowych, muszę się ograniczyć tylko na skróceniu paru skromnych słów o pierwszych *tymczasowych przedstawieniach* w teatrze narodowym, urządzonych dla następcy tronu. Razem było tych przedstawień dziesięć; po ostatnim teatr zaraz zamknięto, ażeby go znów w d. 11 i 12 Września ostatecznie już, uroczystości otworzyć. Na pierwszym przedstawieniu był obecny następca tronu Rudolf i wypowiedział komitetowi zajmującemu się budowaniem teatru najżywsze swe zadowolenie. Tak samo się wyraził o czeskiej sztuce: „Macie piękny, doprawdy, teatr...”

Doprawdy! Czujemy to wszyscy i, patrząc dziś na świątynię naszych muz dramatycznych wewnątrz i zewnątrz, gotowiśmy zawołać słowy poety naszego Heyduka:

Máme to pieknou kapliczku!
Krasná je od hlavy k patie,
jako ta česká panenka
v nedeli v kmentovém szatie.

Doprawdy, piękny mamy teatr — dziś jednak nie wypada jeszcze szeroko o nim pisać. Zaznaczamy tylko, że podczas tymczasowych przedstawień grano trzy nowe sztuki czeskie: *Libusza*, opera Smetany, *Lipany* dramat V. Vlczka i *Smirziczki*, dramat J. Kolara. Także o tych sztukach będzie obowiązkiem krytyki obszerniejsze zdanie wypowiedzieć; my tu w chwili obecnej tylko nadmieniamy, że repertuar czeski rzeczywiście się przez nie wzbogacił, co zresztą tu i sama krytyka i huczne oklaski publiczności na czterech przedstawieniach przyznały. Szczególnie operę *Libusę* nazwać można nieocenionym nabytkiem czeskiej sceny; jestto utwór, jaki narodowi

czeskiemu mógł dziś dać *tylko* jeden „mistrz“ Smetana.

Rodacy Smetany należycie też ocenili zasługi „mistrza czeskiej opery“ i zaraz po skończeniu się tymczasowych przedstawień urządzili na cześć kompozytora bankiet w d. 24 Czerwca. Pięknym i kiepowym był ten obchód z niejednego względu. Przy stole zasiadł kwiat czeskiej inteligencji i sztuki, aby złożyć hołd serdecznego uznania i prawdziwej wdzięczności bezinteresownemu mistrzowi czeskich tonów. Jeżeli o tym obchodzie czynię osobną wzmiankę, to wypada mi wspomnieć i o jednej jeszcze okoliczności, która przy bankietach, a szczególnie przy toastach, rzadko — bardzo rzadko się zdarza. Oto zacytuję Smetana nie słyszy, jest głuchy zupełnie i komponuje już cały szereg lat najładniejsze swe utwory, nie słysząc ani jednego z nich tonu: z tej przyczyny musiano wszystkie toasty naprzód pisać i podawać je w bogatych oprawkach kompozytorowi.

Wobec upałów letnich i wstrzymania działalności nowego teatru aż do jesieni, niedziw, że Pragę wogóle, jak tylko się im sposobność nastreczy, żegnają mury starego grodu, ażeby w świeżem powietrzu malowniczych okolic kraju czeskiego pełnymi piersiami korzystać z tego, czego w wielkich, albo przynajmniej w większych, miastach prawie zupełnie braknie. A doprawdy i w tym względzie przedstawiają okolice Pragi, nawet i bliższe, wiele zajęcia i przyjemności, jeżeli nie dla obcych, to zaprawdę dla swoich. Gdziekolwiek pojednać, czy koleją żelazną, czy statkiem parowym po falach naszej srebrnopiennej Welta-wy, czy też iść pieszo: wszędzie spotyka się miejscami mile dla oka i serca. Tu ładne krajobrazy, lasy i góry, cudne wioski ludu czeskiego. Tam znów zwaliska i zamki, w których niegdyś *czeski pan* rządził i czeskiej ojczyzny praw bronił. Mówiąc o zamkach dosyć wspomnieć Karlstein i Krzywklat, w których dotąd spotkać można cenne pamiątki dawnej, dawnej przeszłości. Cóż dopiero zwaliska Kunietickiej Góry, Jenzstejnu, Tyrzowa, Okorza, Kokorzina i t. d. i t. d.! Te ruiny, to upadłe warownie narodowe. Zupadkiem hardych siedlisk panów czeskich wiąże się nieraz historia upadku całego narodu czeskiego. Podczas wycieczek po kraju najliczniej zwiedzana jest góra „Rzíp“, znajdująca się pod miastem czeskim Roudnicami, pięć mil od Pragi oddalonem. Ze szczytu tej góry widać kraj na wszystkie strony, jak to u nas mówią „od hranic do hranic“, nawet i do tych krańców, w których już nie brzmi język czeski. W historii ma góra Rzíp to znaczenie, że według staroczeskiej tradycji do tej góry praojcowie Czechów przyszli i, rozpatrzywszy się po okolicy, zawołali: „Tu zostaniemy, tu niech będzie ojczyzna nasza!“

Jakoż zostali. Upłynęły wieki, a jednak tam gdzie noga Czecha raz stanęła, już pomimo strasznych burz, jakie się nad krajem srożyły, dotąd Czech stoi! Ztąd powszechnie znany wiersz czeski:

Na Rzípú Czech svuj puvod vzal,
Na Bílé Horze dokonal —
V maticzce Praze z mrtvých vstal!

Miasteczko Roudnice, o pół godziny u stóp Rzípú rozłożone, należy do rzędu tych, które kraj czeski sympatycznie przedstawiają. Znajduje się tu zamek obszerny ks. Lobkowica wraz z bogatą biblioteką i galerią (sam właściciel ks. Lobkowic jest Czechem), szkoły i bardzo dobrze działające towarzystwo literackie, staraniem którego odbywają się tygodniowe zabawy i odczyty. Z radością przypominam sobie jeden wieczorek spędzony w roudnickim towarzystwie literackim. Była to zabawa urządzona na cześć — czy zgadnie czytelnik? — na cześć J. I. Kraszewskiego. Szczególniej miłe wrażenie zrobiło to, że na odczyt o zasługach wielkiego pisarza znajdowało się grono wieśniaków z okolic Roudnic.

Wracając raz jeszcze do *Rzípú*, nadmieniam, że tę górę widzieć można z kolei żelaznej idącej z Drezná do Pragi. Na samym szczycie znajduje się biała kaplica — zresztą każdy odrazu pozna „kolebkę Czech“, gdyż wyskakuje ona charakterystycznie ponad szerołą, zieloną płaszczynę.

Z nowości naszych zanotować wypada, że w tych dniach Praga wzbogaci się nowym

mnikiem czeskim. Na jednym z najpiękniejszych placów prazkich, pośród drzew i kwiatów, na „Karlovy namesti“ umieszczony być ma ładny, dosyć znacznych rozmiarów, pomnik poety czeskiego, Witiesława Halka, którego poezye „Wieczorne pieśni“ są też i polskiej publiczności z przekładu p. Bełzy znane. Halek († 1874) należy do rzędu najulubieńszych poetów czeskich i poezye jego są bardzo popularne. Nawiasem zaznaczam, że Halek urodził się pod Rzípem, gdzie też spędził dziecinne swoje lata.

W literaturze mamy stosunkowo mniej ważnych nowości, chociaż pomimo „martwej pory“, można przecież przynajmniej słów parę powiedzieć o kilku nowych wydawnictwach.

Panna Elizska Krasnohorska wydała właśnie broszurę pod napisem: *Zenska otazka česká*. Już z tytułu widać, że w rozprawie tej poetka nasza zajmuje się ważną zapewne kwestyą kobiet czeskich, co bezwątpienia tem jest chwalebniejszą, im bardziej czujemy brak podobnej literatury u nas. Niestety! rozprawa pani Krasnohorskiej co do samych już rozmiarów nie czyni zadość wymaganiu tak ważnej sprawy, bo na 30 małych stronicach nie podobna w żaden sposób wyczerpać tak obszernego przedmiotu. Autorka zwraca uwagę na stanowisko kobiety w Czechach, przemawia za emancypacją; z tem wszystkiem i we wszystkim jednak zdołała tylko to powiedzieć, co by nazwać można jedynie przedmową do wyczerpującej pracy o kwestyi kobiecej. Wszelako i broszura pani Krasnohorskiej — bez pretensyi pisana — ma pewną wartość. Czy literatura wobec istniejących stosunków, szczególnie w zakresie kwestyi kobiecej w Czechach, zdoła wywrzeć wpływ odpowiedni? to pytanie. Zdaje się nam jednak, że stosunkowo najkorzystniejszy wpływ musiałby wywierać żywy wzór, naturalnie, wzór, któryby się odznaczał zaletami i cnotami takimi, jakie charakteryzują wszystkie kobiety wpływające dodatnio na ludzkość.

Zresztą nie braknie nigdy kobiet wzorowych w Czechach, a jeżeli nie wywierały one na społeczeństwo takiego wpływu, jaki był pażadany, nie jest to winą ich, ale stosunków, w jakich żyły.

Mówiąc o kobietach czeskich, nie mogę pominąć milczeniem tego, że niezmiernie dla Czechów, a zwłaszcza dla kobiet, sympatyczna powieść czeska „Babczka“, Bożeny Niemcowej, wyszła w ostatnim czasie we francuzkim tłumaczeniu Bożeny Kopp. (Praga, 1881).

„Babczka“ jest to cudnie piękna opowieść życia dobrej, pełnej miłości i zacności babki czeskiej — takiej „babczki“, do jakich nas przyzwyczaiły najnowsze pokolenia czeskie. Dla cudzoziemców nie odznacza się może opowiadanie Niemcowej takim urokiem, jaki posiada dla wszystkich, których wypieściła „czeska babczka“. Jest to typ narodowy, przypominający każdemu najmilsze i jedynie spokojne lata dziecinne. Ja, mój brat, mój przyjaciel, my wszyscy... czytając opowiadanie Niemcowej, wracamy we wspomnieniach do tych czasów, kiedy uśmiech zacnej „babczki“ i srebrny jej włos był dla nas miłszym nad życie. W tym względzie podobne jest opowiadanie Niemcowej do pamiętników rodzinnych.

Autorka „Babczki“ była sama wzorową kobietą czeską i gorącą przyjaciółką, już kilka razy w naszych listach wspomnianej Polki, Honoraty z Wiśniowskich Zapowej.

Z innych nowości literackich wypada nadmienić, że w znanej księgarni J. L. Kobra zaczęło od początku Czerwca wychodzić nowe wydawnictwo dla ludu czeskiego pod napisem: „Ustrzedni knihovna“. Wydawnictwo to zawierać będzie tomiki po 10 krajcarów, każdy zaś tomik miesięc ma całkowitą jakąś powieść albo poemat. W bibliotece tej będą prace oryginalne i tłumaczone, szczególnie z języka polskiego, z którego się u nas bez przerwy korzysta. Wkrótce wyjdzie w tejsze bibliotecze ludowej *Ulas* Syrokomli, w tłumaczeniu Jana Neczasa.

Na zjazd przyrodników do Krakowa wybierają się deputacje czeskie. Najlepszy to dowód, że stosunki nasze wzajemne w literaturze i sztuce coraz większej nabywają powszechności i popularności.

Praga ma obecnie przyjemność dosyć często wi-

1) Kiedy szanowny współpracownik nasz, p. Edward Jelinek, pisał te słowa, czy mógł przeczuć nieszczęście, jakie Pragę, teatr czeski i cały naród w Czechach spotkało w d. 12 i 13 b. m.? Wspaniałe dzieło narodowe leży już w gruzach! Niemilosierny żywioł wciągnął kilkunastu godzin zniszczył ukochny dom Czechów, zostawiając tylko czarne, walące się mury i niedopalone zgliszcza. Ani na chwilę wątpić nie możemy o tem, że nieszczęście nie odejęło i nie odejmie Czechom energii, i tensam naród, który zasadą samopomocy dźwignął się był z ogólnego upadku, naród, który w tej zasadzie wierny z drobnych krajcarowych datków wznosił wspaniały przybytek sztuki i myśli narodowej; naród taki dobędzie teraz sił ostatnich i hardego czoła przed losem nie schyli. Spalony teatr jak fenix z własnych odrodzić się musi popiołów. Współczucia najbliższych pobratymczych narodów słowiańskich, sympaty wszystkich ludów Austrii, a w potrzebie i współdziałania czynnego, Naród Czeski pewnym być może.

tać miłych gości polskich, jadących do wód. W tych dniach bawiła w Pradze powieściopisarka polska, pani Eliza Orzeszkowa. Największy zjazd gości w ogóle w Pradze Czeskiej będzie zapewne w dniu ostatecznego otwarcia teatru Narodowego, a Praga, da Bóg, wyglądać sobie będzie jako niewiasta „z Domażlic“ śpiesząca na ślub do kościoła.

Jako wypadek ważny wypada mi zaznaczyć postanowione już otwarcie od nowego roku szkolnego osobnego uniwersytetu dla Czechów, przy dzisiejszym uniwersytecie Karola-Ferdynanda. Od przyszłego półroczka szkolnego w czeskosłowiańskiej Akademii Handlowej „Czeskosłowiańska obchodni akademie“ wykładaną będzie nauka języka polskiego. Powzięcie tego zamiaru jest zasługą dyrektora zakładu, pana Emmanuela Tonnera. Witamy tę nowość całym sercem, bo umiemy ocenić należycie jej znaczenie! I z tego widać, że w Czechach stosunki polsko-czeskie coraz większej nabierają wagi.

Edward Jelinek.

KRONIKA PEDAGOGICZNA.

P. Anastazyja Dzieduszycka objęła naczelnictwo najwyższej szkoły rządowej dla dziewcząt w Krakowie. Prace tej pani na polu literatury pedagogicznej i w zakresie moralności rodzinnej, jej rozumne i szlachetne poglądy na wychowanie, jego cele i potrzeby, każą nam się spodziewać, że szkoła zostająca pod jej kierunkiem stanie się niewątpliwie wzorową. Gdy dodamy do tego wykłady dla kobiet, urządzone przez Dra Baranieckiego przy Muzeum Technicznym, spostrzeczemy, że Kraków pod względem środków wykształcenia kobiet jest bardzo szczęśliwie uposażonym.

Sześcioklassowa szkoła p. W. Górskiego w Warszawie otrzymała konkursową nagrodę przeznaczoną dla wzorowej szkoły prywatnej. Nagrodę stanowił pierścień brylantowy i 300 rub. sr.

W Grójcu otwartą zostanie z początkiem roku szkolnego prywatna szkoła, na początek trzyklassowa, połączona z nauką rzemiosł, na wzór tego rodzaju szkół warszawskich. Szkoła ta, powstała z inicjatywy ks. Tadeusza Lubomirskiego, oraz pp. Bersohna i Domańskiego, jest nie tylko ztąd wysoce pożądaną, że przybywa nam nowy zakład naukowy, ale że młodzież stron tamtych znajduje naukę blisko, więc w warunkach o wiele dogodniejszych, niż gdyby musiała szukać jej w Warszawie lub w Radomiu. Obywatele okoliczni, zrozumiałwszy ten pożytek, złożyli fundusz potrzebny na wzniesienie szkoły, i gdyby powstało na prowincyi więcej takich ognisk nauki średniej, ułatwiłoby się do rozszerzenia oświaty, bo niejedyn syn rodziców mniej zamożnych, na przykład drobnych mieszczan, takich, jak Grójec miasteczek, który teraz przestać musi na szkole elementarnej, kształciłby się dalej, znajdując naukę w pobliżu. Angielski poeta, Gray, miał najwyższą słusność w pięknym swym wierszu: *Eligia na cmentarzu wiejskim*, że spoczywa tam może niejedyn uczonej Milton, nieznan Newton, którego brakło promienia światła, aby rozjaśniony jego umysł stał się wielkim. Szkoły prywatne po mniejszych miastach mogłyby być zarazem dla wielu pedagogów dobrem polem pracy i przyzwolonego utrzymania, które powinny sobie otworzyć siłami własnymi. Ścisł ogromny do rządowych szkół gimnazjalnych, szczególnie w klassach niższych, poręcza pewność powodzenia.

Szkoła grójecka ogranicza się początkowo w nauce rzemiosł do: ślusarstwa, tokarstwa i stolarstwa; z postępem czasu i z rozwojem szkoły przybędzie nauka rzemiosł innych jeszcze.

P. Henryk Wernic, znany już z pożytecznych prac pedagogicznych w zakresie początkowego wychowania, wydał dziełko, wchodzące w skład *Wydawnictwa pedagogiczno-szkolnego* Stanisława Arcta w Lublinie: *Wychowanie dziecka, włącznie do lat sześciu*. Autor książeczkę swoją zaczyna wierszem

Do matki i przypomina, że dzieciństwo to dla życia ludzkiego ta pierwsza pora wiosny, w której wszystko z ziarenek małych kiełkuje, z pączków się wydostaje i ku słońcu podnosi. Organizacyjna praca urodzaju istoty ludzkiej bierze początek z chwilą urodzenia; dzieło wychowania zaczynać się powinno od najpierwszych lat dzieciństwa, tworząc już wtedy podstawy temu, co później zbudować zamierza. Autor porównywa je z działaniem miernika, wytykającego linią prostą między dwoma bardzo odległymi punktami. Najmniejsze zboczenie u początku wykaże się przy końcu oddaleniem ogromnem od zamierzonego celu, ale jeżeli tu błąd daje się naprawić powrotem do punktu, z któregośmy wyszli, wychowanie podobnego zwrócenia się w tył mieć nie może. Błędy jego, które naturę dziecka krzywią, lub jej się krzywić pozwolą, mogą być naprawione już tylko, jak choroba: środkami leczniczymi, repressyjnymi, co dla wychowawców jest pracą trudną, dla dziecka zaś zawsze bolesną, zawsze szkodę mu przynoszącą. Należy też, aby wychowanie było od początku bacznem i troskliwym, aby tępiło skłonności złe, podsycalo dobre, a wszystkim władzom i zdolnościom istoty młodej zapewniało rozwój prawidłowy. Miłość dla ludzi najpierw w sercu dziecka jest zdolną się zbudzić i bardzo wczesnie budzoną być powinna. Ale matka kocha: i oto najpierwsza, najlepsza dla dziecka szkoła miłości, dlatego też przywiązanie macierzyńskie, rodzicielskie, nie potrzebuje wcale kryć się w objawach swoich, powinno tylko zostawać zawsze pod kontrolą rozumu. Wtedy nie psuje dziecka, ale przeciwnie, najwyższe, najdoskonalsze przymioty do życia w niem wywołuje; wtedy dziecko, kochając najgoręcej, nie przestaje szanować najwyżej poświęconej dla siebie matki. Tą drogą miłości i szacunku otrzymuje matka rozumna, matka nie-słaba, posłuszeństwo, na którym opiera się całe wychowanie, jakkolwiek środek to jest tylko, a nie cel: nie dom sam, ale rusztowanie, konieczne przecież, aby dom mógł być zbudowanym. Dziecko całe życie wychowawców słuchać nie będzie, ale posłuszeństwo wyrobi w niem zdolność i moc słuchania przez całe życie rozumu, obowiązku, nauczy je panowania nad sobą, nieulegania pragnieniom i porywom z chęci, i wrażeń chwili powstałym. Posłuszeństwo da przytem dziecku nawykniecie dobrego, zdobędzie je bezwiednie dla cnoty, dla tych przymiotów różnych, które dobrze wychowanego człowieka czynią osobistością szlachetną i miłą. W przyzwyczajeniu, które jest urabianiem się wedle jakiegoś wzoru, najważniejszą rolę gra przykład: i to właśnie nazywa pedagogika wpływem rodzinnego domu. Z wykształceniem rozumu i serca przyjdą pojęcia i przekształcenia, ale nawiąknienia będą miały pod nie grunt, drogę urotowaną i utartą. Od dziecinki młodej nie można jeszcze żądać tegości charakteru, wytrwałości w dobrem: dlatego też autor ostrzega przed próbami, które pedagogika nowoczesna odrzuca najzupełniej. Nie należy w celu prób owych wieszć dziecka na pokuszenie do złego, lecz przeciwnie oddalać od niego zawsze wszelką sposobność taką, bo każde złamanie prawa moralnego zostawia po sobie ślad zgubny, wyciska piętno swoje i z przekroczeniem oswaja. Dzieci, które się stale cho- wało w uczuciach dobrych, w zyczliwości i przychylności dla wszystkich otaczających, tak wyrasta na serdecznego, uczuciowego, szlachetnego człowieka, jak dziecko, którego dzieciństwo upływało w okolicznościach szczęśliwych, które było kochane, zdrowe, nie ulegało zbyt surowej i bezwzględnej karności, nabywa zwykle wesołego, towarzyskiego, swobodnego usposobienia, jest śmiałym i rozgarniętym.

Władze i przymioty uczucia rozwijają się, lub zanikać mogą, i dlatego też autor żąda od matek, aby religijność: poznanie Boga i uczucie miłości dla Boga, bardzo wczesnie były w dziecku rozbudzane. Trwoga, groza przed karą, nie powinny tu nigdy być wywoływane przed umysł dziecka, cieniem ponurym: niech Bóg przedstawia się istocie młodziuchnej jak niebieski ojciec wszechświata. Autor w bardzo dobry sposób każe matce dać dziecku wiedzę o Bogu, jak ją otrzymywał człowiek pierwotny: niech w wielkich, wspaniałych widokach natury ujrzy i pozna—Stworzycie-

la. O wyznaniu jakimś, o formach religijnych jeszcze w tej chwili wychowania mowy być nie może i nie powinno; tylko religijność wznieść, tylko dziecku dać uczuć Boga: oto nateraz wszystko.

Książeczka obejmuje kart 83, więc też tak tu, jak i przy przedmiotach poprzednich, są to tylko wskazówki, wytykające kierunek dróg wychowawczych i całe dziełko tak jedynie uważać należy: zwraca ono uwagę matek na wpływy wychowania, pobudza do zastanawiania się nad niem, skłania niejako do kształcenia się pedagogicznego, wykazując, że wychowanie macierzyńskie, — to dzieło ważne i poważne, które się samo przez się z dnia na dzień, z godziny na godzinę nie prowadzi, ale potrzebuje mieć myśl przewodnią. Zdaje się to nieprawdopodobieństwem, a przecież tak jest niezawodnie, że zaniedbujemy wiele rzeczy nie ze złej woli, ale dlatego, żeśmy o nich nigdy nie pomyśleli: otóż książeczka p. Henryka Wernica podszeptuje to matce, aby o wychowaniu dziecka swego myślała.

Trzeba tylko sprzeczać się z autorem za zbyt realny pogląd na pierwszą umysłową straż dziecka. Jest nią bajka, powiastka, zawsze przez dziecko najmocniej pożądana i słuchana chciwie. Autor żąda, aby ona „rozszerzała zakres wiedzy dziecka i regulowała i tak zbyt pochopną do bujania w marzeniach fantazyją jego“; że przecież odnosi się do dziecka sześciolatniego, jakiegoż to rozmarzenia obawiać się tu można? Dziecko jest z natury swej za żywe, za ruchliwe, za ciekawe na to; wyobraźnia najpierw ze wszystkich władz umysłu budzi się w niem, ku nieznanym przedmiotom wybiega, i dlatego właśnie tak bajki nad wszystko pożąda i nie zaszkodzi mu też, gdy, fantastyczna i cudowna, dostarczy materiału fantazyi, która się zrywa do lotu. Bezpodstawne też są trwogi, a następnie przestrogi autora, aby dziecku dawaną była zawsze bajka rozumowana, obliczona na naukę, aby ono nie słyszało nigdy „utworów gminnych z czasów przedchrześcijańskich“, gdyż te zaszczerpią w niem zabobon, przesąd „i zniechęcą je do poznania świata rzeczywistego“. Każdy znający naturę dziecinną, wie, że autor myli się jaknajmocniej: wrażenia zmysłowe są u dziecka najsilniejsze i ztąd też nie odwróci się ono nigdy od otaczającego je świata, w którym obznajamia je w wychowaniu nowoczesnem nauka o rzeczach. Bajka zaś, te utwory gminne, które autor tak pomiata, odpowiadają drugiej potrzebie ducha dziecięcia. Jest to prosta, pierwotna poezya ludzkości, i dziecko, którego usposobieniu bajka odpowiada, chwytą ją chciwie jako pokarm dla budzącej się w niem wyobraźni, fantazyi twórczej. Bajki rozwijają w dziecku poetyczność; aby się o tem przekonać, dość zwrócić się do literatury pamiętnikowej, do wspomnień dzieciństwa ludzi wielkich w tym kierunku. Najwyższe umysły poetów w ten sposób dostawały swój chrzest poetyczny, przypuszczane były do tajemnic poezyi. Przypomnijmy sobie rzecz najświętszą w tym rodzaju, Żmichowskiej: *Czy to powieść?* Prócz tego ona sama mówiła niejednokrotnie przyjaciółom, że może nigdy nie byłaby poetką, gdyby nie „utwory gminne“, bajki słyszane od przadek w izbie czeladnej. Najpierwsza jej praca literacka taki też tytuł nosi, rozwija się na tle wiejskiej wieczornicy.

Dziecko pragnie, naturalnie, bajki takiej a nie innej: fantastycznej, a nie rozumowanej; gust, który wyraźnie objawi, jest tu wskazówką dla wychowawców. Bajka tak budzi w umyśle dziecka poetyczność, jak opowieść historyczna miłość kraju: z tego też źródła czerpać tu trzeba wiele, łącząc obie rzeczy umiejętnie. Każdy naród ma swoje dzieje przedhistoryczne, legendowe; u nas bajki o Popielu, o Krakusie, o Przemysławie, o Wandzie, o Piaście i Aniołach: toż to źródła rozkoszy i zajęcia dla dzieci, a zarazem wybórny materiał pedagogiczny, którego użycie najmocniej matkom zalecać potrzeba.

M. I.

NOWINY PARYZKIE.

Śmierć Littré'go.—Jego stanowisko prawdziwe w nauce.—Wybory do Akademii.—Oppozycja biskupa orleańskiego.—List jego do Littré'go.—Życie i prace naukowe tego ostatniego.—Powierzchność i charakter człowieka.—Pośmiertne rewindykacje komunistyczne.—Wahadło opinii we Francji.—Powrót Sary Bernhardt z Ameryki i hyperboliczne uniesienia reporterów z tego powodu.—*Cztery wiatry ducha*; dwa nowe tomy dzieł Wiktora Hugo.—Kilka słów o wydawnictwie kompletnych dzieł poety.—Rachunek i poezja.—Co się zawiera w dwóch nowych tomach?—Genesis *Czterech wiatrów*.—Jak pracuje Wiktor Hugo?—Stare papiery i nowe dzieła.—Przegląd czterech ksiąg *Czterech wiatrów*.

Paryż, w Lipcu 1881 r.

(Dokończenie)

Ale zostawmy ich, jakimi są — jest stare sło-wiańskie przysłowie, które powiada: „że garbatego chyba grób wyprostuje“—a powiedzmy słów kilka o nowych książkach. Naprzód należy się zdać sprawę z dwóch nowych tomów zupełnych dzieł Wiktora Hugo. Tu kilka słów wstępnych, o tej edycji, która ma swoje ciekawe strony rachunkowe, godne zapisania na kartach skrzętnego a troskliwego o prawdę kronikarza.

Wiadomo, że pp. Hetzel i Quantin — wydawcy paryzcy—po wstępnych układach z sędziwym poetą, podjęli się wydawnictwa jego dzieł kompletnych, w tej edycji, która nosi własnoręczny epigraf poety „*Ne varietur*“—to jest, że ogłoszone w niej dzieła, przejrane i ostatecznie poprawione przez autora, pozostaną niezmiennymi, na wieki wieków! Edycja ta, zawiera wszystko, cokolwiek dotąd było opublikowane, gdziekolwiek i w jakibądź sposób, i to, cokolwiek poeta opublikować zechce nowego. Wydawcy przystąpili do tej kosztownej sprawy, zapewniwszy sobie naprzód 1,500 prenumeratów. Dochód z tej prenumeraty czysty—to jest po potrąceniu, kosztów druku i innych nakładnictwa—dzieli się na trzy części, z których dwie dostają się wydawcom a trzecia autorowi. To się tyczy jedynie dzieł przedrukowywanych; co zaś do nowych, które dostarczy poeta, część jego pomnaża się jeszcze, czystym dochodem z drugich 1,500 exemplarzy, jakgdyby było 3,000 prenumeratów, których druga połowa bez podziału należy do autora samego, po potrąceniu kosztów. Ta umowa dowodzi, że Wiktor Hugo jest jedynym na świecie poetą, umiejącym rachować!

Dwa nowe tomy noszą, jak zwykle, dziwny tytuł: *Cztery wiatry ducha* (*Les quatre vents de l'esprit*). Trzeba być tak wielkim i znakomitym poetą jak Hugo—aby się nielekkać i podobny tytuł położyć na książce, niedbając już o wrażenie, jakie on na publiczności sprawić może!...

Te dwa nowe tomy dzielą się na cztery księgi: *Księga satyryczna*, *Księga dramatyczna*, *Księga liryczna* i *Księga epiczna*. Powiedzmy zaraz, aby czytelnik zrozumiał całą myśl naszą i całe odebrane wrażenie, że te dwa tomy ani jednego nowej chwały listka nie wplotą do nieśmiertelnego wienca, który od lat już tylu zdobi potężne skronie poety. Jest to zawsze ten-że sam chaotyczny odmet. Szumią bałwany, świszczą wiatry, wałają pioruny, a wśród tej zamieci, słyszy ucho przerażone olbrzymi stuk młota, którym ten Tytan obrabia silne wiersze i niesłychanej potęgi końcówki.

Godłem Wiktora Hugo było od lat najdawniejszych: *Nulla dies sine linea*. Píše on zwykle stojący, gęsiem piórem, jak nasz drugi Kraszewski, na wielkiej ręki papierze, rozciętym w pół-arkusz. Píše, co przychodzi na myśl; półarkusz zapisany — z jednej tylko strony, wierszami czy prozą, rzuca na podłogę i tak idzie dalej, aż póki zamierzona ilość arkuszy zapisana nie będzie. Wówczas dopiero opuszcza swój gabinet, a upoważniona do tego, jedna z osób rodziny zbiera rozrzucone półarkusze, klasyfikuje i do osobnych składa teczek. Można łatwo zrozumieć: jaki zapas produkcji musi być nagromadzony w ten sposób w szufladach i kufrach autora. Klasyfikacja przeszkadza wszelkiemu bezładowi wkraść się do tego la-

su rozmaitości, i w danym razie dozwala poecie zużytkować to lub owo na rachunek nowego dzieła. Ma się rozumieć, że tego rodzaju systemat może się praktykować tylko w poezji, a raczej w wierszopisarstwie. Do prozy posłużyć chyba tylko mogą pewne ustępy, tworzące niejaka całość—jakknaprzykład pamiętny „Opis bitwy pod Waterloo“ w *Misérables*.

Otóż i w tych dwóch tomach widzimy jedynie wybiórki ze starych, bardzo nawet starych, tek poety. Znajdujemy tu naprzykład w *Księdze satyrycznej*, poetę z czasów *Strasznego roku* i *Châtiments*; w *Księdze lirycznej* czuje się młodociane natchnienie twórcy *Orientales* i *Feuilles d'automne* i t. p.; ale nie, coby nam powiedzieć mogło:—oto ośmdziesięcioletni poeta uderzył w struny swej arfy, albo jak nasz wieszcz Bojan „dziesięć sokołów wypuścił na stado łabędzi!“

W pewnym rodzaju przedmowy, à la Hugo, poeta tłumaczy tytuł swojego dzieła i powiada: że jak wielkie niebioso—*Duch ludzki*, bo tak należy tłumaczyć, zdaje mi się, jego wyrażenie *L'esprit humain*,—ma swoje wiatry, swoje punkta kardynalne. Wiosenny powiew tworzy „Georgiki“; Akwilon jęczy w „Hamlecie“; uragan wzdyma „Iliady i t. d.“

Jeśli odwrócimy pierwszą kartę satyr, znajdujemy tu pewien rodzaj spowiedzi, w tonie autora z czasów *Hernaniego* albo *Lukrecyi*. „Gdy byłem młody i blady, powiada, gdy m szedł do Walki, Muza mnie, pytała, w jakim to uzbrojeniu wstępuję w te szranki:

„—Tu pars; mais, quand le Cid se mettait en campagne, Pour son Dieu, pour son droit et pour sa chère Espagne, Il était bien armé...“ Tu czujemy, że dawniej w drugim wierszu poeta byłby napisał—*Pour son Roi*; ale senator Rzeczypospolitej poprawił: *pour son droit*.

A poeta odpowiada Muzie:

J'ai la haine du mal et j'ai l'amour du juste,
Muse, et je suis armé mieux que le paladin.
—Et tes deux boucliers?—J'ai mépris et dedain!

Czy to wam, jak mnie, nie przypomina *Hernaniego*? I tak idą po sobie—czasem piękne, wspaniałe rymy, wielkie, szlachetne myśli, a potem ciepła woda i rymowana gmatwanina prozy, której nikt nie zrozumie i nie spożyje.

Druga księga — *Księga dramatyczna*, zawiera w sobie dwie sztuki, komedya: *Margarita* i dramat: *Esca*. Ten ostatni składa się z dwóch aktów: 1-szy pod tytułem *Lison*, 2-gi pod tytułem *Margrabina Zabeth*, a oba pod ogólną nazwą: *Les deux trouvaillées de Gallus*, obie te sztuki, niewiele warte jako dramatyczne utwory, z trudnością mogą być wyprowadzone na scenę. Są tu zalety i wady naszego poety, w nierównej jednakże rozdzielone mierze, bo czuje się tu więcej wad, niż zalet autora tylu znakomitych scenicznych utworów. *Eheu! fugaces labuntur anni!* Czuję się w tych wierszach, że to muszą być dzieci senatora pochylonego starością.

Nie mogę tu wchodzić w rozbiór tych dramatów, bo muszę spieszyć do końca, a mam jeszcze jeden tom przed sobą. Nie podobna również rozbiierać tego, co w sobie zawiera *Księga liryczna*. Jaskółki to i skowronki, z wiosny życia poety. Jest tu niejeden półarkusz współczesny *Listkom jesiennym*, ale są i z dzisiejszej chwili, niestety—jak owa ostatnia strofa wiersza z tytułem „*Śpiewka*“, *Chanson*. Poeta marzy miłe, lube, cudowne obrazy, widzi aniołków i dzieci, i śliczne dziewczę wśród kwiatów—i tak kończy:

„Mais des rêves dont j'ai la pensée occupée,
Celui qui pour mon âme a le plus de douceur,
C'est un Tyran qui râle avec un coup d'épée
Au coeur!

Finis coronat opus. Czwartą i ostatnią księgę tych dwóch tomów, księgę tak zwaną *Epiczną*, poświęca autor w zupełności wysławianiu wielkiej 1790 r. rewolucji francuskiej; jest to historia tego przewrotu politycznego wierszem, jest to jakby następstwo i rozwinięcie planu naszkicowanego w *Expiation* i *Châtiments* tego poety.

WYSTAWA ZABYTKÓW

PRZEMYSŁU PIĘKNEGO

w Pałacu Brühlowskim w Warszawie.

(Dokończenie).

Stajemy przed zbrojami—stajemy nie bez wzruszenia; przypominają nam się lata i wieki świetności—i iza błyska w oku. Cały dział VII zajmuje 118 numerów, a składa się ze 147 osobników. Pomimo tych, okazałych dość, liczb, powiedzmy prawdę: dział zbroi i przyborów wojennych był ubogim, a rzeczywiście złożyło się na niego tylko trzech wystawców: ordynacya Krasieńskich, ordynacya Zamojskich i państwo Strzałecy, Jan i Marya. Pełnych zbroi polskich było tylko ośm, cudzoziemska jedna. Starannością w zachowaniu i zestawieniem odznaczały się okazy p. Strzałecy. Jego zbroja husarska z XVII-go wieku (Nr 1,138) pozwalała wyobraźni swobodnie odzwiercać te szyki z majestatycznym szumem lecającego, których męstwo tyle razy chwały otwierało przybytek. Ozdobną zbroję przedstawiła ordynacya Krasieńskich; ale samą robotą, budową powierzchni, wyżej stała ładna karacena tejsamej ordynacyi (Nr 1,133). Takążsamą, w piękności nieustępującą, zbroję łuskową wystawił p. Strzałecy (Nr 1,136). Pomijając półzbroję (Nr 1,139), na pojedyncze części uzbrojenia i narzędzia wojenne przypadają wszystkie numery od 1,140 do 1,248 katalogu. Dla dania lepszego wyobrażenia o stopniu zasobności całego działu, ułożyliśmy wykaz wszystkich drobniejszych przedmiotów ze wskazaniem ich ilości. Było tedy hełmów 19, czapka od karaceny 1, kasków niemieckich 2, rękawic par 3, naszyjnik 1, nabiodrnik 1, kolczugi 2, nałockica 1, ryngrafy 4, tarcz 8, pawężę 3, przyłbice końskie 2, strzelba skałkowa 1, korbowe 2, pistoletów 8, kopie 2, ładownic i prochownic 6, miecze 4, karabeli 5, szable 4, koncerz 1, pałasze 2, szpada 1, jatagany 4, sztylet 1, rapiery 3, toporek 1, łuki 3, halabard 8, czekanów 5, buzdycanów 8; — ogółem części uzbrojenia i narzędzi do walki 114. Do działu zbroi słusznie zaliczono z przedmiotów wyższej dostojności: 3 buławy, 2 buńczuki, 4 chorągwie; z niższej: 2 rzędy na konia i 7 siodła. Pod sześciu numerami mieszczą się „Różne“.

Katalog, często zawodny, i w tym dziale również przენiewierza się prawdzie; tak np. oryginalną tarczę żelazną, w płaskorzeźbie trzymaną (N 1167) przypisuje zarazem Zygmuntowi I, jako właścicielowi, i Janowi z Bolonii, jako twórcy. Jedno nie zgadza się z drugim. Jan z Bolonii był jeszcze nieznanym nikomu uczniem, kiedy Zygmunt I już nie żył. Podobnie karabela (Nr 1,181) w żaden sposób własnością Stefana Batorego być nie mogła. Opiewający to napis, wraz z wizerunkiem króla, zrobiony jest *ad usum Delphini*—na żądanie jakiegoś, popularnym zabytkiem pochwalić się pragnącego, posiadacza z późniejszego czasu. Pięknie zachowana jest lekka pawęż turecka z turkusami, własność niegdyś Sieniawskiego, pana Brzeżan—co-to i okrutnym być i piękno miłować umiał, a z zebrania olbrzymiej fortuny zrobił sobie główny cel życia. Buława z rogu nosorożca (Nr 1,199) przystaje jak raz do takiego nosorożca, jakim był w rodzie ludzkim jej właściciel. Wszystkie trzy chorągwie stanowią piękne, drogie zabytki; wszystkie też są własnością ordynacyi Krasieńskich, która je niezawodnie przyszłym pokoleniom w dobrym stanie przekaże. Największą wagę ma Nr 1,232. Bardzo ozdobne trzy siodła przedstawiła tażsama ordynacya; dwa z nich (NN 1,239 i 1,240) mają być polskimi, drugie nawet z początku XVI wieku. Jeżeli istotnie polski robił je rzemieślnik, to pochwalić się niemi możemy przed samymi nawet Turkami Selima. Piękną uzdę i napiersnik turecki, ze zdobycy pod Wiedniem, wystawił pan Kruszewski (Nr 1,244). Kończąc wzmiankę o dziale VII, nie możemy zamilczeć o bardzo niestarannem umieszczeniu okazów: manekinów, albo brakło zupełnie pod zbrojami, albo

też były ohydne, jakieś chude i wyschłe, brzydkie. Ani porządku, ani wolnego przestworu do oglądania okazów nie zapewniono widzowi.

W dziale VIII, właściwie *hors concours* na wystawie przemysłowej, jaśniał jako wystawca pan Lucyan Wrotnowski. Takim zbiorem miniatur i emalii, jaki on wystawił, ze 151 osobników złożonym, mało-któ poszczycić się może. Do historii, do biografii jest to nieocenione archiwum oblicz powszechnie zajmujących osobistości. W miniaturach podobieństwo może nie być wszędzie doskonałym, aby wszędzie pędzel Bacciarellego, Moliniego, Marszałkiewicza ręczy za tożsamość rysów. Z małym wyjątkiem są tu same portrety, a pomiędzy nimi więcej niż połowa odtwarza osobistości polskie lub w polskim występujące charakterze; wszystkie zaś pochodzą z końca XVIII i pierwszych trzydziestu lat naszego wieku. Samo malowanie niezawsze odznacza się pożądaną starannością i wdziękiem; zwłaszcza wiele miniatur Marszałkiewicza nie stoi na wysokości jego rozgłosu. Oprócz naszych jest wiele zagranicznych malowideł, często nieznanymi dziś już twórców. Nie podobna tu wymieniać wszystkich osobistości historycznych, których oblicza p. Wrotnowski ma w zbiorze swoim ma wyobrażone. Cesarze i króle, politycy i bohaterowie, generałowie, księża, uczeni i literaci, kobiety sławniejsze: wszystkich tu w tej galerii oko spotyka. Zbiór p. Wrotnowskiego może być prawdziwie przedmiotem zazdrości dla ludzi zamożnych, lubiących otaczać się pięknem i zamiłowaniem w rzeczach ojczystych. Pragnąć tylko potrzeba, aby się ta galeria coraz bardziej pomnażała i uzupełniała.

Bardzo zajmujące pod względem historycznym są zbiory miniatur pani Alicji Rzysszczewskiej (Nr 1,250), i generałowej Kickiej (Nr 1,251). Pierwszy przedstawia rodzinę Zygmunta Starego, malowaną przez Kranacha; drugi Bonę i Barbarę, Mniszcha i jego córkę Marynę, oraz kopiowanego z Van-Dycka, Karola I. Trzy miniatury Kościuszki, własność p. Rusieckiej i jedna, własność p. Al. Kaszyca (NN 1,258—1,260), podnoszą liczbę podobizn bohatera, w dziale VIII pomieszczonych, do pięciu.

Poważne znaczenie zabytków historycznych mają dwie współczesne miniatury Jana Kazimierza i Stanisława Leszczyńskiego (NN 1,265 i 1,266), należące do p. Alexandra Lessera; ostatnia łączy się z Nr 1,255, własność Dra. A. Estreichera, przedstawiających Leszczyńskiego w grupie mitologicznej. Miniaturowe podobizny pięknej p. Rzysszczewskiej, z domu Radziwiłłówny, odznaczają się przelicznym wykonaniem, doskonałym charakterem i podobieństwem.

Tabakierki emaliowane w wielkiej wystąpiły ilości (NN 1,284—1,301); wszystko to były wyroby niemieckie lub francuskie, jeden chiński. Znamię największej dawności nosi Nr 1,285, z XVII jeszcze wieku.

Zegarki również skromny stanowiły zastęp. Najbardziej zajmującymi dla nas są NN 1,302, 1,303 i 1,307. Pod pierwszym z tych numerów mieścił się zegarek złoty, jajkowaty, na pamiątkę zwycięstwa pod Chocimem. Musiała to być niegdyś własność, bądź samego Zygmunta III, bądź też kogoś z rodziny królewskiej, bo napis opiewa: „Pugna Sigismundi regis Poloniae ad Chocimem commissa“. Rzecz niepojęta: dano tu datę 1622 r. Mechanizm jest londyński. Zabytek ten należy do p. Rusieckiej. P. Ehrlich dał wyrób warszawski *Schepcke à Varsovie* (Nr. 1,303). Najpiękniejszym ze wszystkich zegarków był pana Lucyana Wrotnowskiego, niebiesko emaliowany, w kształcie kulki, modnej za Ludwika XVI (Nr 1,307).

Mijamy *Bonbonierki* (NN. 1314 — 1326) i, zatrzymawszy się chwilę przed dwoma wazonami japońskimi z miedzi emaliowanej L. Krasińskiego — zadziwiającymi techniką swoją (Nr. 1332), — przechodzimy do *Medali*. To także już nie przemysł ale sztuka, sztuka trudna, bardzo poważna. Niejeden medalier więcej wart jest od pyszniącego się dostojenstwem swoim rzeźbiarza; tak, jak niejeden rysownik stanie za dziesięciu malarzy, chełpiących się swoją wyższością nad prostych wykonawców, jakimi mają być wszyscy, nawet najznakomitsi, aqua-fortyści, a w ich liczbie sam Rembrandt.

P. A. Bandtke, jedyny wystawca w tej klasie, ze sławnych zbiorów swoich przesłał dziesięć zaledwie okazów i tem wystawa zadowolić się już musiała. Zpomiedzy nadesłanych najbardziej zajmującymi są: Nr. 1335, Medal brązowy z wyobrażeniem Zygmunta Augusta; Nr. 1340 największy medal na świecie na pamiątkę niepodległości belgijskiej; Nr. 1343 Projekt do medalu, na pamiątkę konstytucji 3 Maja, zrobiony w wosku przez Holchausera.

Kryształki skalne nie zasłużyły na bliższe poznanie (Nr. 1344 — 1351).

W klasie *Emalii* (Nr. 1352 — 1364) najbardziej podobały się nam oryginalne i piękne emalie z Limoges (Nr. 1356 i 7), własność Ordynacji Krasińskich.

Wśród nielicznych *Pieczęci* (Nr. 1365 — 1368) spotkałmy 7 radziwiłłowskich — dodziśnia zachowanych wrodzie — i pieczęć Stanisł. Augusta na pierścieniu. Ta ostatnia ma być wyrobem krajowym.

W klasie brosz, kamei i gem, zasilonym głównie przez p. A. Bandtkego, uderzała niezrównanym urokiem i zręcznością w doborze i użytkowaniu naturalnego kolorysta kamienia Kamea roboty Pichlera z różą we włosach (Nr. 1371). Wszystkich numerów w dwóch ostatnich klasach działu VIII, *K* i *L* było osiemnaście.

Do działu IX, *Druki i oprawy*, najwięcej dostarczyli: pani Rusiecka i p. Przeździecki K. Każde z nich nadesłało po jednym okazie z biblioteki Zygmunta Augusta, sławnej niegdyś, nietylko w kraju, ale i w Europie, a rozszarpanej w gniewie oka. Wspaniałość i staranność oprawy tych ksiąg uderza każdego, najbardziej nawet lekceważącego sobie roboty dawne (Nr. 1387 i 1399). Wyroby polskie, celujące pięknnością, spotykamy pod Nr. 1398, własność p. A. J. Strzałeckiego. Pyszne inicjały i modlitewniki wystawiła pani Rusiecka. Do takiego zbioru inicjałów, jaki posiada ta pani, niejedno muzeum w Europie pięknie-by się uśmiechnęło. Na wspomnienie zasługują dwie okładki srebrne z XVII w., własność hr. Ludwika Krasińskiego. Przedmioty w tym dziale były bardzo źle umieszczone, jakgdyby z łaski.

Dział mebli, dziesiąty, był obfitym, bo zajmował wszystkie numera katalogu od 1404—1506; pokazanych jednak, oryginalnych, dziwacznych rzeczy było w nim więcej niż pięknych, a choćby ładnych, i tych wszelako nie brakło. Uwydatniamy biurka p. S. Wołowskiego, komody p. Gebethnera, stoliki p. S. Potockiego, szafeczki Zamojskich, Platera, szafę z orzecha krajowego p. A. J. Strzałeckiego, skrzynię p. Platera (Nr. 1485), kufer p. Dyzmańskiego. Pośród mebli mieszczą się dwie pamiątki historyczne po królu Janie: fotel jego obozowy i kufer Nr. 1484 (wyżej wspomniany). Historyczny charakter miało parę innych jeszcze okazów. Mebli najwięcej było wyrobu francuskiego; znajdowały się hiszpańskie i włoskie, gdańskich stosunkowo niewiele: przemysł ten u nas nie kwitnął; co było, to, jako powszednie i liche, przepadło.

Wschód niezależnie od gościnności, jaką mu dawano w każdym dziale, miał osobny dla siebie kącik. Niewiele tam było, ale wszystko szczerze zajmowało.

Na tem kończymy krótki, pobieżny nasz przegląd, a raczej przypomnienie wystawy, którą otwarto w d. 14 Czerwca, zamknięto w d. 17 Lipca r. b.

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań, w Lipcu 1880 r.

(Dokończenie).

Pismo tak skwapliwie gromadzące echa działalności kobiecej nie może być obojętnem na prace naszego Towarzystwa pomocy naukowej dla dziewcząt. Instytucja ta rozwija się pomysłnie,

dzięki czynności dyrekcji, a ofiarności społeczeństwa naszego. Dochód tegoroczny wcale poważnie przedstawia liczby, pozwolił zaś kształcić swoim kosztem do 44 uczennic, z których trzydzieści ukończyło studia. W tej liczbie z zalem widzimy zaledwie dwie kucharki, kiedy właśnie najpożądanym jest oddanie berła kuchennego w ręce niewieście. Nie tylko, iż jest to zajęcie odpowiednie dla kobiety, ale nadto zastąpienie drogiego *chef* przez skromną *cordon bleu* wpływa stanowczo na cały ustrój domowy, kładzie tamę zbyt komu stołu i nieprzeliczone za sobą pociąga korzyści. Naszem zdaniem, fundusze towarzystwa, zamiast kształcić muzykusi, nauczycielki i modniarki, najlepiej przysłużyłyby się naszemu społeczeństwu, wychowując dlań zastęp praktycznie wyuczonych sług, któreby, podobnie jak zagranicą, potrafiły licznym sprostać obowiązkom i zastąpić własną wartością zbyteczną liczbę uwijającej się nieraz daremnie po domach naszych służby. Obecnie dyrekcja zamierza podobno uprawiać i dział ogrodniczy i w nim kształcić stypendjowane dziewczęta, co niezawodnie bardzo dobrym jest pomysłem. Coraz cięższa walka o byt mnoży liczbę pracowniczek szukających zarobku poza obrębem własnego ogniska. Towarzystwo pomocy naukowej nastarczyć nie może zanoszonym zewsząd o zapomogę prośbom. W tej chwili sto kandydatek czeka uwzględnienia, co najlepiej świadczy o potrzebie tej dobroczynnej instytucji.

Przed kilku laty, jakby sposobiąc się na skutki religijnego ucisku, który wślad za sobą pociąga zdżiczenie obyczajów, rząd wzniósł w mieście naszym nowy a obszerny gmach sądowy i więzienny. I rzeczywiście, mnożące się zbrodnie, krzywoprzysięstwa i t. p. w miarę, jak się zamykały kościoły i klasztory, wymagać musiały obszerniejszego pomieszczenia dla przestępców i sądującego ich trybunału. Cokolwiek bądź, stanęła poważna budowa, której ozdobność wciąż się jeszcze zwiększa, bądź posągami ustawionymi zewnątrz, bądź malowidłami strojącymi wewnętrzne ściany. Obecnie przybędą tam dwa obrazy do sali posiedzeń sędziów przysięgłych. Są one dziełem pędzla berlińskiego malarza Haydena, upamiętniają zaś dwie daty ze stanowiska germańskiej kultury niezapomniane i dobroczynne. Jeden z nich przedstawia nadanie prawa magdeburskiego stolicy Przemysławów w r. 1253, drugi ogłoszenie Landrechtu w 1794 r. ówczesnym Prussom Południowym.

Pielgrzymka słowiańska, o której wam donosiłem w ostatnim liście moim, licznych ztąd znalazła uczestników. Około stu trzydziestu pątników z naszej dzielnicy pośpieszyło do Rzymu. Na czele poznańskiej deputacji, składającej u stóp Leona XIII adres uchwalony na ostatnim wiecu, stanął p. Kazimierz Chłapowski. Około niego skupiły się najznakomitsze i najzasłużeńsze nazwiska z naszego obywatelstwa i duchowienstwa.

RUCH MUZYCZNY.

Telefon. — Teatr. — Konserwatorium. — Wydawnictwa.

Nie pisaliśmy jeszcze o „cudach“ telefonu, a jednak cuda to prawdziwe; wynalazek ten, dziś doprowadzony już do tak wysokiego stopnia, że zdumiewać musi każdego i wzbudzać wiarę, jeśli nie w stronę estetyczną, to przynajmniej w praktyczną, swych zastosowań. Pan Machalski, wynalazca tego właśnie ulepszenia w mikrofonie, pozwalającego głos przesyłać wyraźnie, nawet na znaczniejsze odległości, przybył tu do nas umyślnie ze Lwowa, aby nam swój wynalazek zaprezentować. Urządził więc, z pomocą tutejszych specjalistów, szereg doświadczeń *muzyczno-deklamacyjnych*, czyli koncertów przeplatanych rozmową, odbywających się pomiędzy Salą Ratuszową a Salą Resursy Kupieckiej. Z zalem zaznaczyć musimy, że publiczność nie odpowiedziała należycie słusznym oczekiwaniom, i że kosztowne i z takim trudem robione doświadczenia nie przy-

niosły wynalazcy nie, prócz kilkuset rubli straty; a jednak, czytając już przed miesiącem o podobnych doświadczeniach pomiędzy Lwowem a Żółkwią czynionych, wszyscy byli niemal zaciekawieni, a nawet wielu niedowiarków mniemało, że niepodobna głosu tak daleko przesyłać. Możeby i u nas ciekawość była jeszcze bardziej podniecona, gdyby obrano kilka-milową odległość; lubo i tak, to, cośmy słyszeli, każe nam się ukorzyć przed majestatem wiedzy ludzkiej. Każdy wyraz, wymówiony w Resursie, słychać było w Ratuszu, i odwrotnie, a zwłaszcza, gdy wymawianym był niezbyt pośpiesznie i z pewnym naciskiem. Śpiew wychodził wybornie, bez żadnego wdzięku wprawdzie, ale nawet wyrazy w śpiewie można było rozumieć. Wszystko to dochodziło do nas, jakby z pewnej jamy czy pieczary, ale było bardzo wyraźne i zrozumiałe. Głos trąbki wyszedł niezawodnie najkorzystniej, gdyż ostrość znikła i tony stały się bardzo szlachetnymi i okrągłymi. Nawet grę na flecie słyszeliśmy wyraźnie i naturę zadęcia łatwo było można odróżnić; passáže, szybko nawet wykonywane, doskonale słychać było; ani jedna nutka nie zginęła.

Słowem, jesteśmy w przededniu zastosowań tele- i mikro-fonu olbrzymich; nie mówiąc jeszcze o wrażeniach muzycznych, jakiejże wagi będą ustne porozumienia między ludźmi, zwłaszcza, jeżeli można będzie rozmawiać czyli telegrafować, na większe odległości! Dziś dźwięk podobno wiele traci ze swej siły wskutek oddalenia; lecz przy tak szybkim w ciągu lat kilku udoskonaleniu znakomitego wynalazku wolno najsmielsze robić przypuszczenia, że w niedługim czasie można będzie do wszystkich miejsc na kuli ziemskiej telefonować i niezadroszczyć Anglikom, że u nich teraz bawi Rubinstein, tylko podziwiać cudowną grę jego za pomocą udoskonalonego mikrofonu!

Jak wiadomo, cały sezon tegoroczny w Londynie był niepospolicie świetny. Oprócz Rubinsteina, pani Menter, Patti, Nilsson, odznaczali się i polscy artyści — z fortepianistów Józef Wieniawski, ze śpiewaków: pani Sembrich-Kochańska, Józefina i Edward Reszkowie, oraz tenor Mierzwiński. Całą tę plejadę polskich śpiewaków bardzo wysoko podnosi miejscowa krytyka, i jeżeli wierzyć mamy korespondentowi „Kuryera Porannego“, oni to właśnie wspólnymi siłami i staraniem mają wystawić na scenie angielskiej *Halkę* w przyszłym sezonie.

Z obowiązku jedynie sprawozdawczego wypada nam wspomnieć o kilku debiutach niezbyt fortunnych. Pani Lucenko, z głosem małym i nie-dramatycznym, nie podolała partyi *Halki*, a dwie siostry, pani Lido i panna Alix, nie mogły rozzbroić krytyki warszawskiej, lubo śpiewały nie bez pewnych zalet. Głosy to zbyt małe i sopranik dość lekki pani Lido byłby dobrym na koncertowej n. p. estradzie, ale w teatrze głos ten w wyższych tonach trochę się forsuje i niekiedy rozmija z prawdą... intonacji. Sympatyczną i wyborną zato artystką jest panna Machwicówna, i cieszymy się wielce, że Dyrekcyja prosiła ją o pozostanie z nami przez cały sezon zimowy. O panu Wołoszce nie w tej chwili powiedzieć nie możemy, a to z powodu, że różne powody odkładały jego debiut przez czas bardzo długi... a gdy nareszcie po wielu oczekiwaniach zapowiedziano „Aidę“, sprawozdawca, wierny swoim obowiązkom, poszedł do teatru i trafił właśnie na arję Radamesa, śpiewaną przez... p. Zakrzewskiego... Nic dziwnego, że po takim zawodzie, gdy zapowiedziano drugi raz „Aidę“, sprawozdawca myśląc, że to *nie naprawdę*, wyjechał na wieś, tymczasem było to *naprawdę* i p. Wołoszko śpiewał, jak powiadają, bardzo dobrze, tylko głosem tro-

chę zasłabym na partyę tak silną. Głos pana W. zawsze był lirycznym, i dziś ustępy łagodniejsze, jak sam pierwszy romans w *Aidzie* (oprócz recitativa), jak ostatni duet, wychodzą wdzięcznie, gdyż p. Wołoszko miał i ma głos miły, dużo smaku i uczucia; zapewne więc byłoby pożądanem, aby artysta głównie średniego repertoaru się trzymał, który dlań jest najwłaściwszym.

W dniu 19 Lipca odbył się debiut pana Sączockiego, barytonisty. P. S. po studiach kilkoletnich w Warszawie, pod kierunkiem p. Horbowski, udał się do Lampertiego i tam wiele jeszcze skorzystał. Przy pierwszym debiucie głos okazał się miłym i szlachetnym, ale, zapewne z powodu widocznej krepnącej artystę obawy, zbyt słabym. Akcja bardzo mierna.

Dawno i z utęsknieniem oczekiwany tenor, pan Mierzwiński, dał się nakoniec słyszeć w Warszawie. Bez najmniejszej przesady powiedzieć można, że mamy słuszne powody chlubić się Mierzwińskim. Śpiewa on pięknie, frazuje szlachetnie, odznacza się smakiem, uczuciem, oprócz tego dobrym jest aktorem; co się zaś tyczy głosu, jest to głos fenomenalny, jakiemu równego może niema teraz w Europie. Prawdziwy to *tenore di forza*, o brzmieniu cudnie metalicznym, silnem, o nutach bajecznie wysokich i nieporównanie pięknych. Głos w górze sięga do *d*, używa go zaś artysta tak umiejętnie, że *c* górne umie brać *piano*. Sala Teatru W. była przepelniona; oklaskom, wieńcom i owacyom nie było końca.

Tak skończywszy chwilowo z teatrem, przenieśmy się do Doliny Szwajcarskiej, i powtórzmy słowo szczerzego uznania zdolnemu i sympatycznemu dyrektorowi, panu Z. Noskowskemu, którego działalność na polu muzycznym prawdziwie obywatelską nazwać się może. Istotnie, postawiwszy sobie za zadanie wydzwignąć polskich kompozytorów z zapomnienia, czyli raczej z *niemożności pokazania się światu*, pan N. wykonywa swój program z odwagą i konsekwencją wielką, a miłem jest i to, że i z bardzo dobrem względnie, powodzeniem. Czy materialne ryzyko, jakim się obarczyć musiał pan N., aby własną orkiestrą u nas utworzyć, już się w tym sezonie opłaci, przesądzać nie możemy; zdawałoby się nam jednak, po liczbie uczęszczających tam gości, że Dolina nie mniej jest dziś nawiedzana, niż była za czasów dyrektorów niemieckich; co zaś do publiczności, ta słucha symfonij własnych z powagą i uwagą, zaś

niejedną z mniejszych kompozycji, o której istnieniu dawniej nie wiedziała, przyjmuje z żywymi oznakami sympatii. Idąc alfabetycznie, grano już w Dolinie kompozytów: Brzowskiego, Dobrzyńskiego, Gomółki, Górskiego, Grossmanna, Hertza, Hoffmanna, Kleczyńskiego, Krzyszkowskiego, Łodwigowskiego, Moniuszki, Münchheimera, Noskowskiego, Szopena, Zarzyckiego i Żeleńskiego.

Ma się rozumieć, że i obcego repertoaru pan N. nie zaniedbuje. Arcydzieła znane powszechnie, szczególnie niemieckie, zajmują w tych koncertach naczelną, przynależną im miejsce i wykonywane są z coraz większą precyzją i cieniowaniem.

Wypada z kolei wspomnieć w kilku słowach o popisie Instytutu Muzycznego. Wykazał on sumienną pracę w łonie instytucji, a w niektórych gałęziach rezultaty bardzo zadawalające. I tak, nowa klasa zbiorowych instrumentów smyczkowych pod kierunkiem prof. Górskiego wykazała zgodność i wcale dobre pojęcie wykonywanych kompozycji; klasa instr. dętych zbiorowych, pod dyrekcją p. Zarzyckiego, wykonała *Serenadę* Mozarta, mimo kilku błędów, wcale przyzwoicie; śpiew solowy nie wykazał zbyt wybitnych rezultatów, ale zato chóry, prowadzone przez prof. Studzińskiego, odznaczyły się, jak zwykle. Skrzypce bardzo dobrze były reprezentowane przez dwóch uczniów: pana Mezelewskiego (prof. Lotto) i Gawryłowa (prof. Górski). Na fortepianie wszyscy grali dobrze, tak panowie, jak panie, a pan Glasser z dość wybitnie rysującą się już indywidualnością. Na przyszłorocznym popisie mają stanąć i organy, na których uczniowie prof. Sliwińskiego świetnie grają. W obecnie upłynionym roku szkolnym uczęszczało do Konserwatorium uczniów 295, z których 204 kobiety. Otrzymało patenta z ukończenia nauk osób 13, zaś świadectwa kwalifikacyjne na nauczycieli muzyki osób 12.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 8-my powieści pod tyt.: *Róża wśród cierni*.

Wyszła z druku książka p. t.:

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIM

PRZEZ

ZOFIĄ KOWERSKĄ

Dzieło premiiowane na konkursie ogłoszonym przez Redakcyę „Bluszczu“

Tom w formacie duże 8-vo

Cena egzemplarza Rs. 2 k. 25. w oprawie Rs. 2 k. 75.

Znajduje się do nabycia u Michała Glücksberga, wydawcy w Warszawie, oraz we wszystkich księgarniach, tak w Warszawie, jak i na prowincyi

Dzieło to osobom, które je zaprenumerowały, obecnie się rozsyła.

Ogłoszenia do BLUSZCZU przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Zapóźno! (z Wiktora Hugo), poezya. — Miłość czy Rachuba? powieść, (dalszy ciąg), przez El-em. — Z działu przyrody, (dokończenie), przez Dra Gustawa Fritsche. — Z Pragi Czeskiej, przez Edwarda Jelinka. — Kronika pedagogiczna, przez M. I. — Nowiny paryżskie, (dokończenie). — Wystawa zabytków przemysłu pięknego, (dokończenie). — Korrespondencya zagraniczna, Poznań, (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 4 Августа 1881 года.

RÓŻA WŚRÓD CIERNI

POWIEŚĆ

przez autorkę „Stefana Lawrence“

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— Wcale nie życzę sobie zwierzać się nikomu — odparła. — Teraz bez zwłoki muszę się zająć wyprawą, miałam bardzo skromną, gdy szłam za sir Ruperta, ale teraz chcę mieć co najpiękniejszego można dostać za pieniądze.

— Czy nie myślisz, najdroższa, że Boże Narodzenie byłoby stosownym czasem na nasz ślub? Moglibyśmy zimę i wiosnę spędzić za granicą, a na lato wrócić do domu.

— Tak, byłoby to doskonale — odrzekła. — Jestem zupełnie twego zdania Karolu, że trzeba nasze zaręczyny w tajemnicy utrzymać, bo nie wypadałoby ci tu mieszkać w takim razie; a ja nie chcę pozabawiać się twego towarzystwa.

Już teraz kokietowała go znowu, a on musiał odpowiadać czułymi słówkami.

— Marzenie mego życia ziściło się nareszcie, Floryno — rzekł też teraz patetycznie.

ROZDZIAŁ XXV.

— Kapitan Archer rozgościł się na dobre w Clydesdale, — rzekł raz Adryan do żony. — Rządzi się jak u siebie, rozkazuje więcej niż Floryna; nie mogę tego pojąć. Chyba nie ma gdzie mieszkać.

Eleonora jako kobieta, rozumiała dobrze co się święci, wiedziała że kapitan kocha się, konkuruje o Florynę, ale nie była pewna, czy się oświadczy. Nie chciała oświecać Adryana, bo wiedziała żeby to uważał za rodzaj świętokradztwa, ale czekała aż go wypadki same objaśnią. Często rozmawiali o gościu z Indyi, o nadmiernie długim jego pobycie w Clydesdale i zachowaniu się bez ceremonii, ale Adryan nie przypuszczał nawet rzeczywiście przyczyny jego pobytu. Po rozmowie którą miał z Floryną w pierwszych dniach jej przybycia, był pewny, że ideał Lady Clyde, którego wzór jej naszkicował, trafił jej do przekonania i dalekim był od przypuszczenia aby miała wprost przeciwnie postępować, aż oczy raptownie mu się otworzyły.

Chcąc pomówić z Floryną w interesie jednego z dzierżawców który go prosił o wstawienie się za nim, pojechał do Clydesdale jednego poranku już we wrześniu. Nie zastawszy w salonie Lady Clyde, udał się do ogrodu, bo mu służba powiedziała, że pani tam się znajduje z kapitanem. Nie było mu to na rękę, że będzie musiał rozmawiać z Floryną o interesie przy tym natrętnym gościu, ale nie mniej poszedł jej poszukać.

Zobaczył ich zdaleka oboje. Byli w części ogrodu zwanej Różanką, bo cały trawnik zasadzony był najpiękniejszymi różami. W środku trawnika była fontanna w kształcie lilii wyrzucająca srebrne promienie wody; przy niej stała Floryna z kapitanem. Lady Clyde śmiejąc się i szebisząc, umaczała rękę w wodzie i patrzyła na kropelki spadające z jej palców. Był to ładny obrazek,

ale uderzył Adryana swoją niewłaściwością. Wdowa Ruperta, wyglądała więcej na młodą pannę, kokietującą adoratora, niż na osobę, która pamięta o wzniosłych pojęciach, jakimi się idealna Lady Clyde rządzić powinna.

— Przedstawia się jak scena miłosna — pomyślał Adryan, ale zaraz dodał. — Nie, wiem: że do tego nie przyszło między nimi.

W tej chwili kapitan pochylał się i pocałował piękną rączkę z uniesieniem, a gdy Floryna zdawała się mu to wyrzucać, on przysunął się bliżej i pocałował namiętniej, przyczem objął Florynę w pól. Adryan wstrząsł się z oburzenia, przyspieszył kroku i zawołał.

— Lady Clyde czy nie masz uszanowania dla pamięci męża, że pozwalasz temu panu grać taką sielankę miłości, pod otwartym niebem?

— Bez innych świadków jak ryby i ptaki — dodała wesoło Floryna. — Mówiłam ci kapitanie Archer, abys uważał na to co robisz. Jednakże Adryanie, nie jestem obowiązana zdawać rachunków z moich czynności.

Niedobry uśmiech pojawił się na twarzy kapita- na, nie mógł się oprzeć pokusie tryumfu nad człowiekiem, który przybierał względem niego rolę sędziego. Zapragnął też wyjawić, że na przyszłość on tu będzie panem z woli właścicielki tych miejsc. Za często znosił w życiu upokorzenia, człowieka, który będąc ubogim, żył między bogatymi, aby nie miał się teraz zemścić i okazać swą wyższość.

— Mam wszelkie prawo — rzekł — całować Lady Clyde, kiedy mi się podoba. Jestem jej narzeczonym.

Mógł się zadowolnić wrażeniem, które wywołał. Adryan cofnął się oniemiały, błąd jak śmierć, skamieniał na te słowa.

— O Karolu! — nie powinieneś być tego mówić — zawołała Floryna.

— Lepiej że ten pan dowie się prawdy. Protekcyjne jego tony są nie do zniesienia...

Jednakże smutna, blada twarz Adryana zrobiła na nim niemiłe wrażenie.

— Floryno — rzekł wreszcie Adryan, głosem zmienionym do niepoznania — powiedz mi, jest-że to prawda? Ty, żona zapomniałabyś Ruperta tak prędko i zniżyłabyś się do zaślubienia takiego człowieka?

— Rupert nie był tak bardzo dobrym dla mnie, Adryanie zawołała Floryna. — Odjechał i zostawił mnie samą. Dla czego nie miałabym zaznać szczęścia jak inne kobiety? Rupert mnie wcale nie uszczęśliwił, nie kochał mnie...

— Rupert był niemniej szlachetnym, a ten pan kapitan jest...

— Czemu? — spytał kapitan widząc, że Adryan się waha.

— Awanturnikiem, — dokończył Adryan. — Floryno, jeżeli powierysz w te ręce los swój i dziecka, pożałujesz tego gorzko.

— Nie wiem co możesz zarzucić kapitanowi Archer — rzekła Floryna usiłując mówić z godnością.

— Zarzucam mu dwie rzeczy przedewszystkiem. Najprzód że się nieszlachetnie wcisnął do domu zmarłego towarzysza pod fałszywymi pozorami dawnej z nim przyjaźni, a potem że poluje na majątek.

— Dla czego tak sądzisz? Mogę nie być piękną w twoich oczach, ale nie idzie zatem, abym była odrażającą dla wszystkich.

— Niech Bóg broni abym te myślał o tobie, Floryno. Ale czy wierzysz w to; że człowiek ten bez żadnego powodu, jeżeli jest szlachetnym, sięgnie po rękę, kobiety tak mającej, jak ty obecnie?

— Adryanie — odrzekła Floryna z dumą. — Kapitan kochał mnie już dawniej. Oświadczał się o mnie, kiedy byłam jeszcze panną i panną niebogata, teraz też może bez fałszywego wstydu żądać mej ręki. Jestem przekonana że mnie kocha.

— Dla czegoż wpieryw nie poszłaś za niego?

— Bo był ubogi — odparła.

— A teraz przyjmujesz go, bo jesteś bogatą?

— Tak; nie widzę powodu, dla którego nie miałabym go przyjąć? Nie jestem indyjską wdową, obowiązana do umierania wraz z mężem. Mam prawo być szczęśliwą na swój sposób.

— Przez pamięć na Ruperta, na siebie samą, na swoje dziecko.

Adryan się zatrzymał widząc ironiczny uśmiech na twarzy kapita- na.

— Myślę, panie Clyde — rzekł ten ostatni — że mogę być równie dobrym opiekunem dziecka, jak pan.

— A ja, uczyniwszy wybór, obstaruję przy nim — dodała Floryna wyniośle.

Kapitan roześmiał się wyzywająco.

— Widzisz pan, uwagi jego są zupełnie stracone — rzekł. — Czy nie lepiejby było zajmować się swemi sprawami, a nas zostawić w spokoju. Postanowiliśmy nie mówić nic o naszych zamiarach, aż do chwili ich wykonania, ale skoro podobalo się panu wmieścić między nas, musimy rzecz ogłosić. Floryno, to musi przyspieszyć nasze pobranie się. Opuszczę jutro Clydesdale i wrócę w listopadzie na ślub, jeśli pozwolisz.

— Na miłość Boską, Floryno, zastanów się co robisz! — zawołał Adryan. — Błagam cię jako wdowę Ruperta, nie idź za tego człowieka!

— Jestem wdową Ruperta, ale pójdę za kapita- na Archer — rzekła obojętnie Floryna.

— Widzę — zauważył kapitan — że pan jesteś bardzo naiwnym panie Clyde. — Gdybyś pan był uprzejmiejszym, nie wziąłbym tej sprawy tak do serca, ale teraz proszę pana abys mi oddał cały zarząd majątku i rachunek z dochodów w dzień mego ślubu z Lady Clyde.

Adryan głosem pełnym goryczy, lecz ze zwykłą mu godnością zwrócił się do Floryny.

— Czy jest to również twojem życzeniem? — zapytał.

— Bardzo naturalnie, — odparła. — Gdy kapitan Archer zostanie moim mężem, będzie tem samem panem Clydesdale i jego dochodów aż do pełnoletności mego syna.

— Czy będzie się także zajmował wychowaniem twego dziecka? — spytał Adryan.

— Nieinaczaj — odrzekła.

— Niechaj więc niebo ulituje się nad Clydes- dalem rzekł Adryan uroczyście. — Wolałbym widzieć ten stary dom w gruzach, niż ostatnie Clyde w ręku takiego człowieka. O Floryno! jesteś pierwszą kobietą z naszego rodu, która się nie okazała godną naszego nazwiska. Jesteś małoduszna i nie umiesz podnieść się do wysokości twego stanowiska. Chociaż boleję nad losem syna i dziedzictwa po Rupercie, ale dziękuję niebu że jeszcze za życia wyjdiesz z szeregu Clydów i nie będziesz już dla nich — niczem!...

Odwrócił się, a kapitan patrzył za nim z rodzajem niezadowolenia.

— Miał jednak ostatnie słowo, Floryno — rzekł. Choć przedewszystkiem widać, że niechętnie wypuszcza z rąk Clydesdale.

ROZDZIAŁ XXVI.

— Nie jestto dla mnie niespodzianką — rzekła spokojnie Eleonora, gdy Adryan za powrotem do domu opowiadał z gwałtownym oburzeniem, co zaszło. — Przewidywałam to od początku.

— Gdybym to był przeczuł, nie byłbym dopuścił, aby imię Clydów było szarżane w błocie.

— Może go za pospiesznie sądzisz, Adryanie,

Róża wśród cierni 8.

może jest lepszym niż myślisz, i naprawdę kocha Florynę.

— Naprawdę kocha Florynę! Charakter tego człowieka maluje się w każdym jego słowie i w rysach twarzy, kocha siebie i majątek, nie więcej. Mówię ci Eleonoro, że smutne dni przyszły na Clydesdale.

— Oż on może złego zrobić? Majątek jest majątkiem, więc z niego nie uronić nie może. Za nadto się niepokoisz, Adryanie.

— Więcej może złego zrobić, niż myślisz Eleonoro! — Może zniszczyć urok naszego imienia, które dotąd jest bez plamy. Za nim Alfred dojdzie do pełnoletności, majątek może dojść do takiego stanu, że go potem podnieść nie będzie można. Wolałbym żeby Clydesdale było zrównane z ziemią, zdaje mi się, że przekleństwo na niem cięższe.

Eleonora napróżno starała się go uspokoić.

— To gorsze dla mnie niż śmierć Ruperta — mówił dalej. — Co za prawo ma człowiek obcy, do posiadania Clydesdale przez tyle lat? Przepowiadam ci Eleonoro, że chłopiec będzie okradziony, a pomyśl jak taki lichy, małoduszny człowiek wychowa dziedzica Clydesdale? Nauczysz go być podobnym sobie to jest, bez żadnych wyższych uczuć, bez delikatności szlachetnej, bez godności osobistej.

Eleonora spuściła głowę, patrząc na purpurowy zachód. Ach! gdyby żył dotąd, ten co tam daleko leży pochowany.

— Adryanie — rzekła łagodnie — powiem ci co nam pozostaje czynić: musimy być aniołami stróżami dziedzica Clydów. W prawdzie na samo Clydesdale, nie możemy wywierać wpływu, ale musimy go mieć na Alfredka. Trzeba się nam wznieść nad osobiste urazy, żyć w zgodzie z Floryną i jej mężem, abyśmy mogli widywać dziecko, przebywać z niem często. W ten sposób zyskamy nad nim władzę i odwrócimy zło, którego się obawiasz.

— Jesteś moim aniołem, Eleonoro! — odrzekł Adryan — ale niemniej wielki ciężar gniótł mu serce.

Zona starała się go ukoić, ale Adryan nie mógł przyjść do siebie.

— Nie wiem jaki cień czarnej chmury wisi nademną, Eleonoro. Ale Clydesdale, Rupert i los jego syna wszystko to miesza mi się boleśnie w umyśle. Muszę być chory. Czuję się już niezdrowo rano, bolała mnie głowa i tylko dla obowiązku zmusiłem się do wyjazdu z domu. W skutek tego byłem też może gwałtowniejszy niż należało.

— Teraz też powinieneś się uspokoić. Połóż się.

— O nie, nie! nie zdołał bym uleżeć. Wszystko we mnie drga, raz mi dzwoni, to znów brzęczy w uszach! wszystka krew wzburzyła się we mnie. Lepiej użyję przejażdżki. Wiliam Mercer prosił mnie do siebie i może pojedaje — chcę zapomnieć choć na chwilę.

Ale w tej chwili wstrząsnął się, jakby wiatr mroźny powiał po nim.

— Wątpię aby to mi co pomogło ale spróbuję — dodał. — Dziwnie jestem przejęty, choć rzecz zasługuje na to. Kto wie co to jeszcze z tego się wywinie i przecucie przepowiada mi może jakie wielkie nieszczęście? Czy pamiętasz Noro ten występ z Campbella „Nadchodzące wypadki rzucają cień przed sobą.“

Nora starała się w żart obrócić obawy męża.

— Nie pojedaj do Mercera, — rzekł. Tam będzie polowanie — wolę iść na przechadzkę sam. O której godzinie będzie obiad?

— O siódmej, ale mogę go przyspieszyć jeżeli chcesz.

— Nie, opóźnij go raczej o godzinę. Powrócę przez Castletou's Folly, odwiedzę Longtona przy spręcie siana. Czekać mnie o ósmej, Noro.

Poszła z nim razem do domu. Adryan zawołał ulubionego psa, że przecież miał w myśli polowanie, które się odbywało w sąsiedztwie, przyszła mu nagle chęć wzięcia ze sobą broni. — Przyniosę ci parę bekasów — rzekł do żony, cału-

jąc ją na pożegnanie, rozerwę się w ten sposób najlepiej i otrząsnę się z wrażenia, które mnie przyniata.

Eleonora długo patrzyła za nim, gdy odchodził. Niespokojna była, choć udawała swobodę umysłu, bo widziała, że Adryan jest bardzo dotknięty, a znała jak bardzo był wrażliwym i jak gorącą krew miał w żyłach. Zostawszy samą udała się do jego gabinetu i tam wszystko uporządkowała, potem poszła do stajen, obejrzeć czy konie jego i psy do polowania były dobrze opatrzone. Cały dzień zajmowała się sprawami męża, ale niespokojność ciągle w niej wzrastała. Dzwonek dający pierwszy znak zbliżającego się obiadu, mieszał ją, ubrała się żywo, aby wyjść zaraz skoro mąż wróci. Zdawało jej się nawet, że go słyszy wracającego. Pospieszyła więc na dół, sądząc że go zaraz zobaczy, lecz wszedł tylko kamerdyner, pytając się: czy można podać obiad?

— Nie przedź, aż się pan ubierze.

— Pan jeszcze nie wrócił i sądziłem że pani sama będzie jeść obiad.

— Nie wrócił! — zawołała Eleonora w najwyższym niepokoju. — Będę czekać na niego.

Czekała tak do dziewiątej z bijącym sercem i śmiertelną trwogą. Aż naraz dało się słyszeć szczekanie psa i Eleonora klasnęła w ręce.

Viksen — zawołała — znam jego głos. Bogu dzięki bo byłam już w wielkim niepokoju.

Viksen przybiegł przez trawnik, ale nikt za nim się nie ukazał. Służący wyteżali wzrok, aby coś dojrzeć przy świetle księżyca, ale nikogo nie było. Wtedy zauważyli że powrót psa był niedobrym znakiem, Viksen szczekał i biegał tam i napowrót, jak szalony.

— Zdaje się jak gdyby, chciał nam coś oznajmić o panu — rzekł kamerdyner, kręcąc głową. Puść go Billu i chodźmy za nim gdzie poleci.

Pies wolno puszczonej istotnie pobiegł znów z powrotem przez ogród, a potem przez pola, oświecone łagodnym światłem księżyca, przez las wreszcie aż do Castletou's Folly. Tam dowiedzieli się, że pan był tu o siódmej i udał się do domu przez Hadley Fenus. Folwark ten leżał tuż w pobliżu. Pies szczekając zajadłe, biegł ciągle naprzód aż do miejsca, gdzie spostrzegli Adryana leżącego przy płocie, jakgdyby spał ze spokojną twarzą. Oblewało go światło księżyca i dostrzeżono wkrótce, że ugodzony był kulą w samo serce.

Wypadek był bardzo prosty. Niósł broń nieuczucie, i gdy przebywał płot, kurek musiał się zaczepić o krzaki i nabój poszedł prosto w piersi. Śmierć musiała nastąpić w jednej chwili, oblicze jego nie wyrażało najmniejszej bolesti.

Poniesli go do Greenowes — do domu, który opuścił tak niedawno w pełnej sile męskiego wieku. Cień śmierci był rzeczywiście w tym niepokoju, którego nie mógł opanować.

ROZDZIAŁ XXVII.

Wielki żal powstał w całej okolicy gdy się dowiedziano o nieszczęściu. Adryan szanowanym był i kochanym powszechnie. Strata jego żywszego wzbudziła uczucie, jak śmierć Ruperta, bo Adryan żył i pracował lat tyle w tej okolicy, to też kochany był przez ubogich i bogatych.

Eleonora zniosła ten cios mężnie, ale nie chciała widzieć nikogo z tych, co ją przybyli pocieszać. Lady Leestone bardzo dobrą się dla niej okazała. Pozostała w Greenowes, aż do pogrzebu, a potem prosiła ją, aby pojechała do Clydesdale, na co Eleonora chętnie przystała, ciężko jej było znieść widok domu, gdzie przebyła ostatnie chwile z Adryaniem.

Kapitan Archer przeraził się, usłyszawszy o strasznej i nagłej śmierci Adryana.

— Ach! mówił do Floryny — dla czego się to stało tego dnia właśnie! Zdaje mi się jakgdybym

był jego zabójcą. Czy czasem, nie odebrał sobie sam życia.

Floryna zbiła nieuzasadnione przypuszczenie. Nie było żadnego powodu, do tak okropnej rzeczy, niemniej kapitan Archer był boleśnie dotknięty.

— Zawsze żałuję że się tak postawił surowo. Zmartwił się niewątpliwie tem, że idziesz za mąż i niezawodnie chodziło mu bardzo o przyszłość dziecka. Jestem pewny, że idąc rozmyślał o tem i dlatego nie uważał na broń. Zawsze będę czuć rodzaj wyrzutu.

— Dzieciństwo — odrzekła Floryna. — Musiał umrzeć w ten lub inny sposób. Ostrzegałam Eleonore, aby nie pozwałała zawieszac jego portretu obok Ruperta, sprawdziły się moje słowa.

— To najgorsza, że nasz ślub musi być odłożony — rzekł kapitan — sama przyzwoitość nakazuje nam czekać przynajmniej pół roku.

Ży rozdrażnienia zabłyśły w oczach Floryny.

— A ja znowu muszę włożyć żałobę — rzekła. — Już tak byłam rada, że się pozbyłam czarnego koloru, teraz muszę przez przyzwoitość nosić się czarno.

— Ale nie będziesz się szpeciła wdowim czepkiem.

— Nie, i bardzo się z tego cieszę. Ale czy konieczne na tak długo ślub odłożyć trzeba?

Kapitan tłumaczył jej, że tak wypada, i że muszę poświęcić uczucie dla względów etykiety, szanowanych w wielkim świecie.

Piękny okręt pruł spokojne fale spokojnego morza, a na pokładzie ktoś smutny i stęskniony do starego domu liczył godziny. Pragnął zobaczyć co prędzej ogorzałą twarz przyjaciela i towarzysza młodości, piękną, łagodną jego żonę, a nawet pragnął teraz uściskać swoje dziecko. Życie samotne wywarło swój wpływ, tęsknił za widokiem wież Clydesdale i rodzinnej angielskiej ziemi. Stał na pokładzie patrząc na niebo i morze i skrzył się, że ani wiatr, ani para nie dość szybko niosą go do domu. Milejący był zwykle i nie towarzyski, jedna myśl go ustawicznie zajmowała.

Raz gdy stał obok rudla, mała córeczka jednego z pasażerów zbliżyła się do niego nieśmiało.

— Co pan widzi w wodzie, że pan tak ciągle w nią patrzy?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Widzę mój dom i twarze tych, których kocham — odparł.

— Twarze? — powtórzyła z dziecinnym zdziwieniem. — A czy one się uśmiechają i kiwają na pana, jak w jednej niemieckiej bajce?

— Nie, bo ci których kocham myślą, że już nie żyję i już mnie oplakali.

— Jak to dziwnie? ale czemu pan pozwolił im płakać po sobie? Czemu pan nie napisał przeciętno że jeszcze żyjesz?

— Sam się temu dziwię, — odparł poważnie. — Chorowałem długo w dalekim kraju i prawie obumarłem na wszystko. Niechętnie wracałem do życia.

Dziwnem to było że on, tak zamknięty w sobie, otwierał serce przed dzieckiem; ale potrzeba wynurzenia się komuś wzmogła się w nim i miło mu było rozmawiać z jasnowłosą dziewczynką. Od tego dnia obrał ją sobie za towarzyszkę i gdy stał na pokładzie ona wsuwała rączkę w jego dłoń i pytała.

— Czy pan dziś widzi w falach swoich ukochanych?

Sir Rupert pierwszy dostrzegł ziemię, i nagle upadł na kolana, ukrył twarz w dłoniach. Była to dla niego rzeczywista chwila powrotu do życia. Miał stanąć przed ludźmi, jak ten, który się podnosi z letargu, tylko że tu letarg trwał długo, bardzo długo.

Ciemne oczy Ruperta napełniły się łzami. Nigdy słońce nie wydawało mu się tak jasnym, a serce oddawna już nie biło w jego piersi. Następnego poranku okręt zarzucił kotwicę pod Londynem a w godzinę potem Rupert siedział w hote-

lowym pokoju. Serce mu biło gwałtownie, a puls uderzał jak w gorączce. Powiedział sobie że musi tu przemocować, a rano wyruszyć do Clydesdale.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Eleonora spędziła całą zimę w Clydesdale, była cierpiąca i mocno smutna, i Lady Leestone nie chciała też na jej wyjazd pozwolić. Zresztą Nora chętnie tu przebywała, mając sprawy Clydów na sercu i mogąc się zajmować wychowaniem sir Alfreda. Zyskała sobie w całości jego przywiązanie i stopniowo doszła do wyłącznego prawie nad nim nadzoru. Floryna milczała, ale w gruncie rzeczy rada była uwolnić się od ciężaru macierzyńskich trosk, a Lady Leestone czuła aż nadto dobrze, że nikt nie był zdolniejszym od Eleonory do prowadzenia dziecka. Floryna zresztą cała była zatopiona w przygotowaniach do wyprawy i martwiła się tylko, że zwyczaj każe wdowie brać ślub w kapeluszu, a nie w pomarańczowym wieńcu.

Kapitan Archer wyjechał z Clydesdale zaraz po pogrzebie Adryana, lecz aby być blisko, najął sobie mieszkanie w Rodney, w najlepszym hotelu „Pod herbem Clydów“ i ztamtąd przybywał codzienne do Clydesdale — Towers.

Wybrał się tam jak zwykle jednego wiosennego poranku. Natura cała zdawała się budzić do życia, cienie i smutki śmierci znikaly z niej powoli. Kapitan szedł pysznym lasem z sercem rosnącym na myśl, że niedługo zostanie panem choć czasowym tych rozkosznych posiadłości. Ślub jego oznaczony był na początek czerwca; on chciałby był go przyspieszyć, ale Floryna dowiedziała się od kogoś, że małżeństwa w maju zawarte nie są szczęśliwe, a zresztą i pogoda bywa wtedy tak niestała, że niewiedzieć było, jak przygotować ślubną suknię i podróżną toaletę młodej oblubienicy. Kapitan wiedział, że jeżeli Floryna postanowi coś ze względów na toaletę, jest to już nieodwołalnym, przysłał więc jeszcze na tę zwłokę, ale sobie obiecywał że po ślubie zmieni postępowanie z Floryną, że nie będzie pochlebiał jak dotąd jej próżności i dziecinny kaprysom. Dla nich to może, dla używania rozkoszy kokieteryi Floryna odwróciła ślub tak jej dawniej pożądanym. Żałowała coraz więcej tytułu Lady Clyde i chciała trochę dłużej nacieszyć się godnością, którą miała stracić, a kapitan rozumiał i postanowił być innym mężem, niż kochankiem.

Wszedłszy małą furtką do parku, udał się w stronę Różanki wiedząc, że tam pewnie zastanie Florynę jako w miejscu przez nią ulubionem i w samej rzeczy znalazł ją tam u wodotrysku.

— Nigdy czas tak wolno mi nie szedł, Floryno — rzekł pozdrowiwszy ją. — Dni wydają mi się miesiącami, tygodnie latami. Kiedyż nareszcie nadejdziesz upragniona przez nas chwila? Chciałem ci właśnie przedłożyć plan naszej poślubnej podróży. Nie będziemy jeździć uterowanym gościńcem, nie pojedziemy ani do Paryża, ani do Florencyi, jakże ci się to podoba?

— Słyszałam że Florencya to bardzo modne miasto — rzekła Floryna — panie się tam podobno ślicznie ubierają.

Kapitan wznosił ręce w komicznej rozpacz.

— Na cienie wszystkich poetów i malarzy! — zawołał cóż mówisz za herezye! Florencya to siedlisko sztuk pięknych, a tam gdzie pełno gieniuszy, toalety pań mają kurs niski bardzo — Ale kto to jest Floryno?

— Kto taki? — spytała.

— Widziałem jakiegoś jegomościa wysokiego i silnego, przeszedł właśnie koło domu. Masz gości?

— Nie, to pewnie który z oficyalistów, często tędy przechodzą.

— Wiesz Floryno, zawsze się śmiałem z słabych nerwów, ale czuję że moje osłabły od chwili

śmierci Adryana. Strach jakiś często mnie zdejmuję, zdaje mi zawsze, że mi będziesz odebrana.

— Nie widzę powodu — rzekła śmiejąc się. — Ale to zawsze dowód, że mnie kochasz bardzo. Pochlebia mi to Karolu...

— Zapewne że cię kocham — odrzekł.

Spojrzała na niego zalotnie.

— Czy jesteś pewny że mnie kochasz, a nie Clydesdale?

— Ciebie, ciebie jedynie Floryno!

Odgłos kroków dał się słyszeć na żwirze, ale teraz nie uważali na to zajęci sobą. Ktoś się zbliżał, potem przystanął, potem znów cicho się przysunął.

— Samaś wydała wtedy świadectwo mej miłości, gdy inny głos odważył się posądzić dobrą wiarę mych uczuć. Wiesz zatem, że cię kocham nad wszystko.

— Tak mówisz piękny kawalerze — zaśmiała się Floryna.

— Cóż mam powiedzieć aby przekonać moją panią i boginię — rzekł kapitan ujmując ręce Floryny i okrywając je pocałunkami.

Kroki zbliżały się ciągle i nagle usłyszeli głos ostyry za sobą. Ktoś zawołał: — Lady Clydel... Odwrócili się przerażeni, a Floryna padła nagle twarzą na ziemię.

Stał przed nią jej mąż, sir Rupert Clyde.

ROZDZIAŁ XXIX.

Na widok sir Ruperta, kapitan Archer stanął jak skamieniały. Nigdy najmniejsza wątpliwość nie powstała w jego umyśle co do śmierci tego człowieka i teraz też zdjęty śmiertelnym strachem, zdawał się sparaliżowanym. Otworzył usta, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył. Floryna leżała u jego stóp, a on nie myślał jej ratować. Przez kilka chwil sir Rupert przypatrywał mu się w milczeniu, nagle zawołał stłumionym głosem.

— Kto jesteś? Jak się zwiesz i co tu robisz?

— Kto jesteś ty? — odparł kapitan, odzyskując głos nareszcie. — Przychodzisz tu z twarzą i głosem Ruperta Clyde, ale Rupert leży pogrzebiony na dalekim zachodzie.

— Nie... Rupert tu stoi zdrow i żywy i odpowiadaj na jego pytanie: — Kto jesteś?

— Czy mnie nie znasz, sir Rupercie? czy nie pamiętasz, że spotykaliśmy się w Indyi? Kiedyś nazywałeś mnie swoim przyjacielem.

Sir Rupert spojrzał mu surowo w oczy.

— Nie dobrą mam pamięć, ale jeżeli się nie mylę, jesteś awanturnikiem, którego znałem w Lahorze jako kapitana Archer.

— Jestem oficer i szlachcic, sir Rupercie!

— Oficer i szlachcic! A cóż tu robisz, tu teraz? Widziałem jak całowałeś rękę mojej żony.

— Zapominasz pan — rzekł kapitan — że wszyscy mieli ją za twoją wdowę.

Sir Rupert zadrżał i pobladł śmiertelnie. Jego wdowa! Niestety zapomniał o tem, że upoważniał Florynę do uważania się za wolną. Zląkł się teraz tego stanu rzeczy, który jednak sam zgotował sobie i innym.

— Powiedz mi wszystko od razu? — zawołał drżący od wzruszenia. — Czy już po ślubie kapitan Archer?

— Nie, nie; jeszcze nie doszło do tego, sir Rupercie. Niegdyś kochałem się w Lady Clyde, a dowiedziawszy się że jest wdową, przybyłem za nią do Anglii. Rzeczy dalej nie zaszły.

Z gorzkim westchnieniem Rupert odwrócił się od niego. Rzeczy dalej nie zaszły! Niestety już i tak zaszły dość daleko. Wracam do domu, aby znaleźć żonę zaręczoną innemu. Czy jednak miał prawo wyrzutu, prawo do wierności, on który nie kochał i pokazał się tak grzesznie obojętnym.

Pochyliwszy się nad Floryną podniósł ją z zie-

mi. Przyszedłszy do siebie, odwróciła przelękną twarz i krzyknęła.

— O Karolu, Karolu, jak ja się boję! Przyszedł z grobu! Nie pozwalaj mu wziąć mnie... — błagała czeplając się kapitana. — To jest nieboszczyk, to jest upiór, wyssie ze mnie krew. Ach! strasznie się boję!

Kapitan Archer widział że jest w bardzo drażliwym położeniu i że bardzo ostrożnie musi postępować. Odjął więc splecione ręce Floryny i przemówił chłodno.

— Lady Clyde, strach odbiera ci przytomność. Umarli nie wracają na ziemię, uspokoń się więc i posłuchaj. To jest rzeczywiście sir Rupert, twój mąż, któregośmy mieli za umarłego, ale który powrócił do zdrowia.

Odwróciła się z wolna ku mężowi i wyciągnęła zimną, drżącą rękę.

— Czyż na prawdę jesteś żywym Rupercie?

— Tak, zdrow i żywy, ale zdaje mi się że byłoby lepiej, gdybym był umarł. Nie przewidywałem takiego przywitania.

— Tak mnie przeraziłeś — odparła Floryna. — Sambyś się przelęknął, gdyby nagle stanęła przed tobą osoba, którą przez trzy lata miałeś za umarłą.

— Być może — odrzekł. Często starałem sobie wyobrazić nasze powitanie, ale nigdy nie marzyłem, że zastanę tu to, com widział, ani że padniesz zemdlona ze strachu przedemną. Nie robię ci jednak wyrzutów, bo sam zbłądziłem, zostawiając cię zbyt długo w niewiedomości prawdy. Wypadki przyłożyły się do tego: towarzysz mej podróży zginął nagle i zdawało mi się, że listy, które były pisane pod wpływem gorączki, nieodeszły nigdy do Anglii i przypadły razem z Donaldem Rancorn.

W myśli Floryny stanęła nagle wyprawa; szybko przebiegła pamięcią czy co niepotrzebne nie kupiła i pocieszyła się, że Rupert nie wgląda szeregółowo w jej wydatki. Zrozumiała że powinna teraz zapomnieć o kapitanie.

— Prawdziwie jestem szczęśliwą, że cię widzę, Rupercie — rzekła — wyzdrowiałeś więc jakoś cudownie?

— Byłem już nad grobem — odparł — istotnie tylko cudem powróciłem do życia.

— Ach! czemuż nie napisałeś zaraz? zawołała Floryna z żalem, przypomniała jej się jedna rzecz okropna i załamała rękę.

Sir Rupert zbladł ze wzruszenia. Jakże zdoła wytłomaczyć tej kobiecie, że głównie wstręt do zawiazania z nią znów stosunków stał się przyczyną postępku, trudnego do zrozumienia przez ludzi, którzy nie mogli zajrzeć w głąb jego serca.

— Floryno — rzekł — wiem że w sądach ludzkich zawiniłem, ale Bóg widzi że jestem niewinny i tylko nieszczęśliwy byłem i słaby.

Kapitan Archer pomyślał tymczasem, że Floryna dobrze się wzięła do rzeczy, rzucając mężowi na serce wyrzut. Była to mądra stara polityka, która każe napadać, aby się nie bronić.

— Tak-powtórzył też za nią. Jestto wielkiem nieszczęściem, sir Rupercie, żeś nie napisał do domu po prostu, że chcesz pozostać przez czas dłuższy niekrepowany obowiązkami męża.

Rupert mógł przyjąć wymówkę od żony, lecz nie mógł jej znieść od kapitana, który go posądzał o rzecz niegodną. Ale nie chciał rozmazywać tego. — Floryno! przeproszę cię za to, com zawinił... i musisz mi przebaczyć. Ale pan, kapitan Archer, zrozum proszę, że obecność pańska jest tu zbyt uczynną. Im prędzej nas pan od siebie uwolnisz, tem lepiej.

— Przez wzgląd na żonę zatrzymaj się pan i rozważ — odparł kapitan. — Uchodziłem tu nie za konkurenta Lady Clyde, ale za twój przyjaciel.

— Czy to prawda, Floryno? — zapytał Rupert.

— Prawda — odrzekła. — Byłeś przecież przyjacielem sir Ruperta kapitanie Archer i mój mąż temu nie zaprzeczy. Wszyscy tu o tem wiedzą i przez szacunek dla mnie nie uczynisz tego Rupercie.

— Naturalnie, skoro tak rzeczy stoją, kapitan

Archer zostanie tu dni parę, ale im prędzej odjedzie tem większą zrobi mi przyjemność. — Zamilkł na chwilę, a potem dodał.

— Floryno gdzie jest nasz syn?

Słowa zabrzmiały czysto i wyraźnie w powietrzu, a Lady Clyde błada śmiertelnie obróciła się do kapitana, który spojrział na nią przenikliwie.

— Floryno dla czego nie odpowiadasz? — zawołał sir Rupert. Jak się ma chłopiec? przecie jest tu z tobą, i żyje.

— Jest bez wątpienia — odparła teraz żywym, gorączkowym głosem. — Jest zdrów, chodź do niego.

— Klara tu jest — dodała. — A... czy słyszałeś Rupercie, że Adryan umarł?

— Adryan umarł! — zawołał sir Rupert z gwałtownym wstrząśnieniem. — Wielki Boże! on nie żyje! mój brat, mój druch ukochany! Umarł! O Floryno czy to nie żart okrutny! Adryan nie żyje...

Boleść tak głęboko wryta była w jego twarzy i głosie że Floryna i kapitan patrzyli nań z mimowolnym uszanowaniem i trwogą.

— Żałuję że cię zmartwiła, Rupercie — rzekła nie śmiało Floryna, — nie myślałam że cię to tak przejmie ciężko.

Kłamała, chciała zyskać chwilę czasu, dla uspokojenia się w tem, co jej targało serce, a biedny Rupert nie mógł zapanować nad sobą i padł na ławkę obok stojącą, aby zapłakać płacząc gorzko. I usłyszeli jak z piersi męskiej wyrwały się łkania gwałtowne. A małoduszne istoty usunęły się prędko od tej boleści w dziwnym przerażeniu, bo nie mogli zrozumieć takiej głębokości żalu, skoro nie było straty materyjalnej.

ROZDZIAŁ XXX.

Gdy Lady Clyde i kapitan znaleźli się sami, zatrzymali się spoglądając z trwogą po sobie.

— Nigdy nie powinnaś mi się przyznać że nasz ślub był tak bliskim, Floryno — rzekł kapitan poważnie. Zabiłby mnie z pewnością, a toby twoje życie zatrzymało.

— Nie powiem — odparła niecierpliwie Floryna. Mam więcej rozumu jak ci się zdaje. Nie wiem dla czego powrócił, przerażając wszystkich? Mógł być już umrzeć naprawdę.

Kapitan spojrział na nią z ciekawością.

— Czy też i o mnie mówiłabyś podobnie? — zapytał?

— Nie — odrzekła. — Ciebie kochałam, a jego nie lubiłam nigdy, on też nie dbał o mnie wcale.

— Zdaje się niespokojny o chłopca, Floryno.

— Wszystko tu jest w porządku, i nie boję się wcale — odparła.

Wtedy kapitan obejrzawszy się dokoła, rzekł zeicha.

— Dla mnie to zawód okropny, Floryno. Mogę teraz pożegnać Clydesdale na zawsze. Pałace, żyzne pola, piękne lasy i strumienie są dla mnie stracone.

— Nie moja to wina — odparła Floryna. — Nie mogę na to poradzić i napróżno mi to wymawiasz.

— Nie wymawiam — odrzekł kapitan. Przeciwnie żal mi cię bardzo; twój zawód może jeszcze większy od mojego, choć tobie zawsze zostaje Clydesdale, a ja jestem zrujnowany.

— W jaki sposób? — rzekła szorstko.

— Wiesz przecie, że nie posiadałem nic, prócz stopnia, a ten sprzedałem.

— Cóż zrobiłeś z pieniędzmi — rzekła niecierpliwie. Oburzało ją że kapitan w takiej chwili mówi o pieniężnych kłopotach.

— Co zrobiłem? Wydałem sporo na podróż,

a resztę na pobyt tutaj i prezenta dla ciebie, Floryno, a raczej Lady Clyde jak powinienem cię teraz nazywać. — Im ładniejszy podarek przyniosłem, ten milej byłem widziany, wiedziałem to dobrze. Nie mi prawie nie zostało, a jednak muszę mieć pieniądze, aby nie żebrac.

— Zdajesz się więcej myśleć o stracie pieniędzy niż o naszym rozłączeniu — rzekła Floryna z miną obrażonej godności.

— Staraj się mnie zrozumieć — rzekł kapitan, hamując niecierpliwosć — mogę się zmusić do życia bez ciebie, ale nie podobna mi żyć bez pieniędzy. Chwile mego pobytu w Clydesdale są policzne.

Wymowa jego przerwana została wybuchem płaczu Floryny.

— Nie wierzę abym cię kiedykolwiek obchodziła prawdziwie — mówiła łkając. — Cała twoja dążność była, aby posiadać Clydesdale.

— Moja droga Floryno, to nie jest czas na wyrzuty; dobrze policzyszy, ja zostałem daleko ciężiej dotknięty. Sądziłem że zasłużę kobietę, którą kocham i zostanę panem ogromnego majątku a tu naraz wszystko to speliło na niczem. Twojem zadaniem jest, aby ten zawód złagodzić. Będziesz opływać w dostatki, musisz więc wystarać się dla mnie przynajmniej o pięć tysięcy funtów. Wtedy odkupię stopień i wyjadę z Anglii.

Spojrzała na niego z niepokojem.

— Jakże ja mogę się wystarać o pięć tysięcy funtów? To nie ma sensu, Karolu!

— Trzeba zostawić to w zupełności twojemu dowcipowi. Ale to jest rzeczą pewną, że muszę mieć z rąk twoich tę sumę.

— Nie mogę przyrzec — odparła. — Co na to powie sir Rupert?

— Powiedz mu, że masz długi.

— Pożyczyłam już Klarze podobną sumę, muszę się już z tego tłumaczyć.

— Jeżeli to zrobiłaś dla siostry, możesz uczynić i dla mnie. Musisz, Floryno, musisz koniecznie.

Zaczerwieniła się.

— A gdybym odmówiła — zapytała.

— Zapominasz, że potrzebuję tylko wyrzec słowo, a najstraszniejsza hańba spadnie na ciebie.

— Nie zdradzisz mnie — szepnęła blademi ustami.

— Wszystkiego się dopuszczę, bo jestem w ostateczności — odparł.

— I ja, Boże odpuść mi — zawołała Lady Clyde, załamując ręce — ja miałam cię za szlachetnego człowieka!

— Spodziewam się że dotąd nim jestem — rzekł skromnie kapitan. — Ale muszę myśleć o sobie, a ty możesz zrobić to, o co proszę.

— Jestem najniezwyklejszą kobietą! — zakała Floryna. — Myślałam że jestem kochaną dla siebie, nie dla pieniędzy.

— Jestto lepiej dla nas obajga, że już dziś nie ma w mem sercu tej namiętnej miłości dla ciebie, jaką miałem kiedy byłaś młodą dziewczką. Co by się teraz z nami działo? Rad jestem, że moje uczucia spowaźniały, ale bądź ostrożną, Floryno, masz do czynienia z człowiekiem zropaczonym.

— Wolalabym była nie urodzić się nigdy! — zawołała Floryna, patrząc za oddalającym się kapitanem.

Gorzko płakała, bo czy to podobnem było, aby ładny Karolek tak zawsze dla niej uprzejmy, posunął się do pogroźek dla otrzymania pieniędzy?

Kapitan oddalił się z tłumionem przekleństwem; zły uśmiech wykrzywił twarz jego, a serce przepełnione było żądzą zemsty.

Wiadomość o śmierci Adryana była ciężkim ciosem dla Ruperta. Kochał go głębokim i wier-nem przywiązaniem brata.

Dążył do domu z myślą gorącego uścisku jego ręki, a teraz nigdy nie miał go już ujrzyć, nigdy. Łzy gorące płynęły mu po twarzy.

Nakoniec pomysłał o dziecku i Eleonorze Clyde. Powstał i udał się ku zamkowi, nie widząc nigdzie Floryny ani kapitana.

Zbliżył się do miejscy gdzie klomby z białych i pasowych gladjolusów kwitły w całym blasku, a w pośród nich stała pochylona postać, której widok przyspieszył bicie jego serca. Wysoka, smukła, odziana w czarną szatę ze złotymi włosami w połowie schowanymi pod wdowim czepekciem, Eleonora wydała mu się jeszcze piękniejszą niż dawniej. Zostawił ją pośród kwiecica, w pośród kwiecica znajdował teraz. — Nie słyszała jego kroków, urwała kilka białych kwiatów i do ust poniosła, a Rupert patrząc na nią pomysłał, że słońce jeszcze nigdy nie oświecało piękniejszego obrazu, jak tej uroczej kobiety w czarnym stroju, trzymającej białe kwiaty przy ustach.

Nie widziała go, a on nie miał siły przerywać milczenia, serce biło mu żywo i nie mogąc dłużej zapanować nad sobą zawołał.

— Eleonoro!

Głos jego był słaby i cichy ale go dosłyszała i podniosła głowę zdziwiona; jeszcze go nie spostrzegła, a on znowu powtórzył — Eleonoro! — Wtedy podniosła piękną głowę ku niebu, jak gdyby sądziła, że głos przychodził ze śnieżnych obłoków.

— Eleonoro! czy mnie nie poznajesz, — zawołał jeszcze.

Wtedy obróciła się w stronę z kąd głos już wyraźnie dochodził i oczy ich się spotkały. Nigdy nie zapomniał wyrazu który jej twarz rozpromienił — wyrazu zdziwienia, radości i czułości, niewysłowionej miłości, ale bez cienia trwogi. Floryna z krzykiem przestachu padła na ziemię na jego widok, ale ta piękna uroczą postać zbliżała się ku niemu z wyciągniętymi ramionami, dla niej jego obecność nie miała nic strasznego, choćby to był duch pokutujący.

ROZDZIAŁ XXXI.

— Rupercie — rzekła słodko Eleonora — czy to ty zmartwychpowstały?

— Jej jasne duże oczy spotkały się bez strachu z wejrzeniem Ruperta.

— Nigdy nim nie byłem Eleonoro, bo wtedy był bym niezawodnie znalazł się już nieraz przy tobie — odpowiedział. — Wyszedłem z ciężkiej choroby i oto znowu jestem tu — żywy!

Zbladła teraz, a ręce jej drżały tak mocno ze wzruszenia, że kwiaty które zerwała upadły na ziemię.

— Nie przeraziłem cię Eleonoro? — rzekł pytająco.

— Troszkę — odrzekła. — O Rupercie! jak często tu przychodziłam i patrzyłam na zachód, przesyłając ci pozdrowienia siostry w krainy innego świata, a ty jesteś zdrów i żywy!

— Tak, ale muszę ci wytłumaczyć jak się to stało.

Trzymając silnie jej ręce w swych dłoniach, opowiedział jej o chorobie w lesie Camargo, jak był pewnym że koniec jego przyszedł i uważał za rzecz właściwą napisać, że już umarł.

— Gorączka odejmowała mi rozum i przytomność — mówił. — Myślałem tylko o zakończeniu trosk moich i oszczędzeniu wam długiej niepewności co się dzieje ze mną. Teraz kiedy umysł mój silniejszy, widzę moje postępowanie w właściwym świetle i przyznaję, że zbłądziłem.

(Dalszy ciąg nastąpi)